ŁOWIEC POLSKI



Żórawie na wiosennym szlaku. Z serji nagrodzonej I nagr. na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego" w r. 1938.
Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 8 (928)

15 KWIETNIA 1939 R.

CENA ZŁ. 1.–



Powrót z toków. Fot. W. Wysocki.

DEPESZA POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO DO NACZELNEGO WODZA, MARSZAŁKA EDWARDA ŚMIGŁEGO RYDZA

W dniu 31 marca r. b. Polski Związek Łowiecki przesłał pod adresem Naczelnego Wodza, Marszałka Edwarda Śmigłego Rydza, depeszę treści następującej:

W IMIENIU POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO, W CHWILI, KTÓRA WYMAGA SKUPIENIA WSZYSTKICH SIŁ NARODU, ZAPEWNIAMY PANA MARSZAŁKA O PEŁNEJ GOTOWOŚCI I ODDANIU.

OGÓŁ POLSKICH MYŚLIWYCH, ZRZESZONYCH W ZWIĄZKU, POZOSTAJE DO DYSPOZYCJI PANA MARSZAŁKA W OCZEKIWANIU NA JEGO ROZKAZY.

PREZYDJUM POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

MYŚLIWI — DO APELU!

W dniu 5 b. m. rozpoczął się oficjalny okres subskrypcji Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej.

Już przed tą datą, t. j. do 4 b. m. włącznie, społeczeństwo polskie, jak najbardziej żywo odczuwając potrzebę dozbrojenia Armji, konieczność wzmożenia siły obronnej Państwa przez rozbudowę floty powietrznej i dział przeciwlotniczych, do apelu stanęło solidarnie we wszystkich swych warstwach.

Wynik tej pełnej żywiołowego odruchu akcji jeszcze przed oficjalnem otwarciem okresu subskrypcyjnego przyniósł poważną sumę zadeklarowanej pożyczki 150.000.000 złotych!

Myśliwi polscy — zorganizowani w Polskim Związku Łowieckim i stojący poza organizacją — nie mogą dać się w akcji tej zdystansować, prześcignąć.

Myśliwi polscy staną wszyscy, jak jeden mąż, do pomnożenia siły i potęgi Ojczyzny.

Myśliwi polscy spotkać się muszą u kas subskrypcyjnych, nie ociągając się w spełnieniu swego obowiązku!

Przypominamy, że Pożyczka Obrony Przeciwlotniczej obejmuje subskrypcję na 5% obligacje 100-złotowe i 3% bony 20-złotowe.

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI

*

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI ZADEKLAROWAŁ NA POŻYCZKĘ OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ SUMĘ ZŁ 3.000 I W DNIU 31 MARCA R. B. ZŁOŻYŁ NA RĘCE KOMISARZA GENERALNEGO POŻYCZKI CZEK NA POWYŻSZĄ SUMĘ.

KILKA UWAG O UBEZPIECZENIU MYŚLIWYCH

W artykule niniejszym pragnąłbym, idąc po linji tez, wysuniętych w ostatnim artykule p. Andrzeja Śliwińskiego*) na powyższy temat, dorzucić kilka uwag, posiadających mojem zdaniem zasadnicze znaczenie dla omawianego zagadnienia.



Po rannych tokach. Fot. Mjr. E. Więckowski.

Z artykułu powyższego pozwoliłbym sobie powtórzyć wysuniętą w sposób oryginalny i niezwykle trafny zasadę, że „nowa ustawa łowiecka musi brać pod uwagę nietylko ochronę zwierzyny, ale i ochronę człowieka". Dodałbym tylko, że ustawa łowiecka winna brać pod uwagę również ochronę myśliwego.

Niebezpieczeństwa, na które narażony jest myśliwy, wyłuszczone są w powołanym na wstępie artykule: stanowi je ryzyko roszczeń i wynikający z nich obowiązek odszkodowania za wyrządzone szkody, który na tle obowiązujących ustaw może stać się ruiną majątkową dla myśliwego. Nie wszyscy myśliwi zdają sobie sprawę z konsekwencji, jakiemi grozi nieumyślne postrzelenie.

Znany mi jest cały szereg wyroków, które zapadły w ciągu ostatnich kilku lat w sądach, w sprawach o poszkodowanie osób na polowaniach i daleki od poddawania jakiejkolwiek krytyce tych orzeczeń stwierdzić muszę, że dla nikogo, kto znałby treść tych wyroków, kwestja zawarcia ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej nie byłaby zagadnieniem.

Jeżeli powierzchowne zranienie naganiacza, szczególnie na kresach wschodnich, nie wywołuje jeszcze, jak dotychczas, roszczeń przekraczających zdolność płatniczą przeciętnego myśliwego, to już zranienie, a cóż dopiero trwałe okaleczenie, gajowego czy strzelca, lub uczestnika polowania, wywołać może obowiązek bardzo wysokiego odszkodowania.

W procesie o odszkodowanie za utracone na polowaniu oko strzelca, postrzelonego przez jednego z uczestników polowania — znany mi jest wyrok jednego z sądów apelacyjnych, który przysądził odszkodowanie w wysokości zł. 22.097.—, jako skapitalizowaną rentę, albowiem „pozwany nie złożył dowodu swej zamożności i nie zabezpieczył w sposób dostateczny renty mogącej być zasądzoną, a stan zamożności pozwanego, jeżeli nawet w chwili obecnej daje gwarancję regularnej wypłaty renty, nie jest tak pewny, aby można było bez względu na możliwość zmiany sytuacji materjalnej pozwanego w wyniku takich czy innych posunięć jego zabezpieczyć rentę aż do śmierci powoda".

W stosunkach między samymi uczestnikami polowania rzadko wysuwano dotychczas wzajemne roszczenia o odszkodowanie. Ten stan rzeczy niewątpliwie ulegnie zmianie w ciągu najbliższych lat z przyczyn, które zbytecznie byłoby uzasadniać, a że w związku z tem podniesie się również przeciętna wysokość zgłoszonych roszczeń — nie ulega chyba wątpliwości.

Zarówno interes społeczny, jak i interes samych myśliwych wymaga, ażeby kwestja ubezpieczeń od odpowiedzialności cywilnej została czem rychlej rozwiązana i zagadnienie samo unormowane w formie zadowalającej wszystkie zainteresowane strony.

Nie wchodząc w szczegóły tego zagadnienia — gdyż nie chcę antycypować przyszłych ustaleń — nie mogę nie dodać, że niewolnicza recepcja doświadczeń zagranicznych byłaby równie chybiona, jak zupełne pominięcie tych doświadczeń. Sprawa ochrony myśliwego musi uwzględnić specyficzne stosunki polskie i tylko wtedy będzie mogła przyczynić się do podniesienia u nas kultury łowieckiej.

ROBERT ALEKSANDER GRUNER

*) Andrzej Śliwiński — Nowelizacja ustawy łowieckiej a ubezpieczenie myśliwych od odpowiedzialności cywilnej (Łowiec Polski Nr. 3/1939, str. 69).

GNIAZDO SOKOLE

Żonie — Muzie poświęcam.

Nad wzgórkiem, gdzie sosna prastara
wypręża gałęzie — ramiona,
sokołów zjawiła się para
więzami miłości złączona
i, pławiąc się w niebios przeczystym krysztale,
na wiatru kołysze się fali.

Nad sosną szybują sokoły,
nad gniazdem w konarach ukrytem.
Ich lotu rozszerza się koło
i wzwyż upojone błękitem,
porwane zalotów podniebnych rozkoszą —
ku słońcu i szczęściu się wznoszą!

Co roku do gniazda swojego
sokoły wędrowne wracają.
Samotnie ich życie przebiega,
bo gardzą motłochem i zgrają,
co żyje i walczy, i ginie — tam w dole,
nie znając wolności sokolej!

W. L. von FALKENAU.

AFRYKA

(Ciąg dalszy).

OCEAN

Do wieczora, po obu stronach statku, widzimy ląd. Po prawej stronie niskie, piasczyste Somali i po lewej skaliste wybrzeża Arabji. A wciąż ta sama pustynia bez śladu roślinności, spalona słońcem, płowa; wciąż te same piaski i skały. Morze puste, jak wymiótł, spotkaliśmy jeden tylko parostatek idący naprzeciw i dwie żaglowe barki miejscowe. Raz byliśmy tak blisko brzegów, że odróżnić mogliśmy przez lornetki idące szeregiem wielbłądy i ludzi.

Nazajutrz po południu ukazały się przed statkiem skały groźnego Guardafui. Burgmestr odsunął się z respektem i nakładając drogi szerokim łukiem omijał pełne zdradzieckich skał podwodnych „cmentarzysko morza", jak nazywają okolice te żeglarze. Niebezpieczeństwo, w razie rozbicia statku, zagraża tu tem większe, że rozbitków, których nie pochłoną fale albo nie zjedzą rekiny, mordują dla łupu dzicy Somalisi wybrzeża. Los taki spotkał niezbyt dawno parowiec włoski i obfity okup dopiero ocalił załogę. Dziś, dzięki dobrym mapom i doświadczeniu, wypadki takie, z parowcami zwłaszcza i przy spokojnem morzu, należą do bardzo rzadkich. Zła tradycja jednak żyje i po dziś dzień widok skał Guardafui uważany jest za memento, witane ze zgrozą, a żegnane z ulgą. Tak każe nazwa przylądka: *Guarda - fui*, czuwaj - uciekaj!

Dla nas jednak Neptun łaskawym jest bogiem. Jak na kraj monsunów i cyklonów, wiatru niema prawie i morze jest spokojne. Dokoła przylądka tylko, widoczne zdaleka, skłębione, wściekłe pieniły się biało wiry i, plując płachtami piany, rzucały się, jak złe psy na łańcuchu. Morze tam zawsze burzy się i falę daje wysoką, bo wysunięty na wschód najdalej kraniec Afryki, przylądek Guardafui, wpiera się, jak tama, w silny prąd i dąży wzdłuż wschodnich wyrzeży Czarnego Lądu. Kiedy na niebie słońce i kiedy wiatr śpi, morze pieni się tylko między skałami i mruczy. W górze za to oszalałe, rozhukane ryczy, jak buhaj, i ostrzega, że ukryty za skałami śpi Czarny Olbrzym i za wstęp do swego królestwa grozi śmiercią.

Minąwszy Guardafui, Burgmestr raz jeszcze zatoczył półkole i, powróciwszy na swój poprzedni kurs, popłynął wprost na południe. Przylądek, teraz nie straszny już, pozostał za nami, a przed statkiem bezmiarem przestworza otwiera się Ocean — Ocean Indyjski !

Czy sprawia to siła sugestji, jaka jest w tej nazwie, czy skłonna zawsze do złudzeń wyobraźnia, ale mam wrażenie, że morze wspanialsze tu jest jeszcze i potężniejsze niż zwykle. Niby to samo morze, to samo błękitne niebo i to samo słońce, ale więcej tu życia i siły. Ocean w pobliżu przylądka zupełnie spokojnym nie bywa nigdy. Jak zielonawe, olbrzymie wały, wstają, goniąc się, długie fale i, potrząsając białemi grzywami piany, toczą się na spotkanie statku. Jak sięgnąć wzrokiem, po widnokrąg, niezmierzona płaszczyzna porusza się konwulsyjnie, kłębi i faluje. Od krańca do krańca widnokręgu jednym dreszczem olbrzyma przewala się Ocean! Stateczny dotąd, spokojny Burgmestr zaczyna kołysać się i tańczyć. Mniejsze fale przecina śmiało dziobem, na wielkie wspina się, jak koń na przeszkodzie. Kiedy jest na grzbiecie zielonkawego, szklistego wału, otwiera się przed nim wodna przepaść. Już w niej utonie. Miarowo, jak wahadło, statek pochyla przód, zesuwa się z uciekającej pod nim fali i spokojnie podnosi się na następną. Z grzbietów fal, jak białe ptaki, zrywają się płaty piany i spadają na pokład. Nie burza to jednak, dokoła świat uśmiecha się pogodą; niebo błękitne, słońce na niebie. To zwykłem swem tchnieniem oddycha Olbrzym - Ocean. To nie wygrzewające się w swej kotlinie, drzemiące wiecznie Morze Czerwone. Tu morze żyje i tętni, jak tętni wraz z niem cały otaczający nas świat.



Na oceanie.

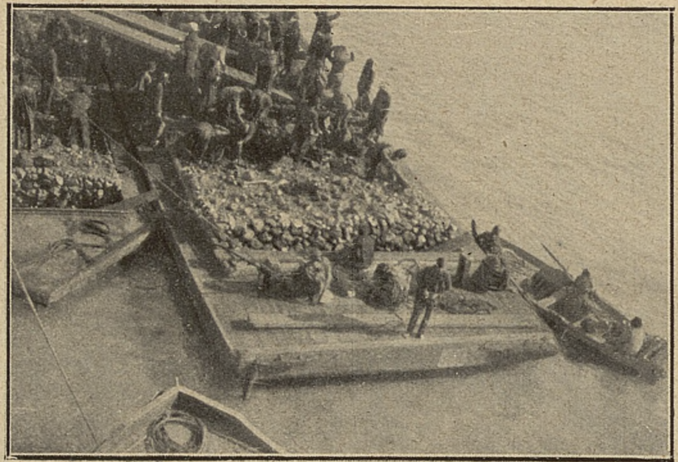
W parę godzin po wyjściu z cieśnin widzimy, nie dalej niż pół kilometra, fontanny z nozdrzy wieloryba i zaraz potem płynące długim sznurem stado delfinów. Zdaleka, falisto ukazując się na powierzchni i niknąc, sznur zwierząt nasuwa myśl o przysłowiowym wężu morskim. Zachwyt pasażerów jest u szczytu, ilekroć rwać się poczną przed parowcem, jak kuropatwy na ściernisku, ryby latające na skrzydłach. Jak wielkie srebrzyste ważki nad stawem, migocąc długiemi, szklistemi płetwami, unoszą się w powietrze, lecą nad wodą, jak ptaki, zbaczają nawet i, przeleciawszy kilkadziesiąt metrów, zapadają znowu, znikając w toni.

Tajemnice swego bytu Ocean ukrywa zazdrośnie i bodaj, że wszystkich nie ujawni nigdy. Widząc istoty, które ukazują się na powierzchni, człowiek odgaduje, że istnieje wielki świat cały tworów niedostępnych, bajecznych, zamieszkujących niezgłębione otchłanie, do których nie przenika promień słońca i których nie ogląda nigdy w ich żywiole oko badacza.

W drodze z Adenu do Mombasy, widzimy dwa razy fosforescencję, najwspanialszy, najciekawszy i najmniej rozumiany przejaw życia i tajemnic praw Oceanu, którym, od wieloryba do wymoczka, podlega cały zamieszkujący go świat.

O tej samej porze, w tej samej chwili, na całym bezmiarze woda zaczyna świecić, jak gdyby niebieskawym, niesamowitym płomieniem, jaskrawszym niż

płomień spirytusu, paliło się morze. Kiedy zapadnie nagła podzwrotnikowa ciemność, zdumionym oczom człowieka strefy umiarkowanej ukazuje się widok fal morskich, które ogarnął pożar. Jak w krainie czarów, statek płynie wśród płomieni, które nie są ogniem, i w świetle, które nie od ognia bierze początek. Dziób statku, prując fale, odwala na boki ogniste skiby i budzi coraz nowe płomienie, nowe światła, nad któremi w świecących, niezliczonych zygzakach i arabeskach zapalają się, wirują, migocą, gasną i zapalają się znowu mokre iskry. Po ścianach statku, jak płomienie, pełzają ogniste języki. Za parowcem, gdzie śruba wzburzyła wodę, świecącą smugą ucieka w nocną dal rzeka ognia. Chaos wód zamienił się na Oceanie w chaos płomieni i światła.



Z albumu Autora.

Wobec zjawiska, które, w tej sile i w tym przepychu, pod równikiem tylko, na gorących wodach Południa oglądać można, i L. i ja jesteśmy, jak w hypnozie; nie znajdujemy słów, żeby wyrazić wrażenie.

A kiedy miesiąc na niebie wznosi się wyżej i zimnem swem światłem zalewa przestworza, płomienie na morzu gasną i tracą niebieskawy, ciepły ton ognia. Bezbrzeżna przestrzeń staje się martwą, bladą, jak mleczna szyba, za którą pali się światło.

Dawno już minęła północ, kiedy, jak odurzeni, zeszliśmy do kajuty. Długo nie mogłem usnąć i pod powiekami miałem wciąż obraz morza w ogniu.

Słońce stoi teraz prostopadle nad głowami; od świtu już niebo zieje żarem i oślepia blaskiem. Pobyt pod pokładem, mimo pracujących bez przerwy wentylatorów i otwieranych pokryjomu iluminatorów, jest nie do zniesienia. Bar nawet, choć nie brak w nim źródeł ochłody, świeci pustkami. Mimo gorąca jednak, powietrze tu znośniejsze, niż na Morzu Czerwonem. Lżejsze jak gdyby i łatwiej niem oddychać. Przyznają to wszyscy podróżni. Wieczorem nawet, kiedy zajdzie słońce, czuć w atmosferze coś, jak ruch powietrza, jak powiew.

Noce, choć gorące, przychodzą cudowne. Na niebie pełnia, więc na morzu jasno, jak w dzień; statek płynąć mógłby bez świateł. Tysiącami i tysiącami, jak połyskujące srebrne gwoździe, iskrzą się w ciemnem, granatowem przestworzu jaśniejsze niż u nas gwiazdy. Krzyż Południa stoi u zenitu prawie, Gwiazda Polarna dawno zniknęła.

Burgmestr wyraźnie zbliża się do równika. Słońce wschodzi coraz później i zachodzi coraz wcześniej, aż dzień i noc zrównały się zupełnie. O szóstej rano i o szóstej wieczór budzi się i zasypia dzień.

Równik: dwanaście godzin światła i dwanaście godzin mroku. Dni krótkie, wczesne zmierzchy i długie noce, które od dzieciństwa uważać przywykliśmy za nieodłączne od pojęcia chmurnego nieba, chłodów i zimy, budzą tu, pod niebiem palącego słońca i nieskazitelnego błękitu, jak gdyby uczucie głuchego niepokoju, wykolejenia; świata obcego, niezrozumiałego, różnego zupełnie od porządku wszechrzeczy, z jakim zrastaliśmy się od kolebki.

Reszta energji, na jaką jeszcze stać pasażerów, przejawia się rankami tylko i po zachodzie słońca. W ciągu dnia, po południu zwłaszcza, życie na pokładzie zamiera, a senność i brak wszelkiego ruchu stają się tak zupełne, że na myśl przychodzi zaczarowany „okręt widmo", prowadzony przez duchy do nieznanego nikomu celu. Ale to złudzenie tylko. Statek prowadzą ludzie i pracują ciężko pod pokładem. Świadczą o tem wymownie postacie nieszczęsnych palaczy i maszynistów, wychodzących z kotłowni. Na przednim pokładzie, zgnębione upałem, leżą w słońcu nieruchomo, apatycznie, somalijskie konie i wielbłądy.

Mimo gorąca, sjesty południowe wolę odprawiać w kajucie, gdzie rozbierać się można gruntownie i puszczać na nagie ciało wiatr elektrycznych wentylatorów. Trudniej było o powietrze, bo otwarte iluminatory groziły mniej lub więcej obfitym prysznicem, jeżeli wyższa fala zajrzeć chciała do kajuty. Dwa razy zrywaliśmy się w nocy, przebudzeni nagle potokiem wody. Poza nagłem przebudzeniem jednak, potop taki komiczny był raczej niż przykry, bo zmoczona pościel i bielizna po dziesięciu minutach były suche.

Wieczorami przesiadujemy długo na pokładzie, gdzie jest powietrze, fotele, czasem rozmowy trochę i steward od napojów pod ręką. Codzień słyszymy jak dzwoni dyżurny północ. L. znalazł partję bridge'a, a ja zbliżyłem się ze Szwedami. W rozpalonej, dusznej kabinie, na parzącej pościeli sen przychodzi późno nad ranem. A kiedy uśnie statek, dochodzi mnie w nocnej ciszy głuche, miarowe, do stłumionego oddechu podobne, tętno pracujących maszyn i monotonny szept fal, ocierających się o ściany statku. Szmery te jednostajne, ciągłe, jak chód zegara albo bicie serca, słyszane przez godziny, dnie, tygodnie całe, hypnotyzują i dają poczucie wielkich przestrzeni lepiej, niż zegary i chorągiewki, któremi oznaczają codziennie przebytą drogę.

Zmęczenie bierze wreszcie górę, ale przekrwiony od gorąca mózg nie przestaje pracować i sen przychodzi niespokojny, chorobliwy, pełen widzeń, jak w malignie. Niby w kniei polowanie zimą, po śniegu, a w obławie Somalisi z czerwonemi od wapna głowami, nadzy i zlani potem, jak palacze z kotłowni. To znów z łodzi poluję na znajomej rzece. Wiosłuje stary Poleszuk Harasym i rozmawiamy po angielsku, a szuwary i woda dokoła palą się niebieskim, jasnym płomieniem, który nie parzy. Najczęściej, jak to przed polowaniem, śnią mi się niestworzone przygody myśliwskie: dziwaczne spotkania, zepsuta broń i t. p. Zmęczony, zgorączkowany, budzę się niby i słyszę, albo śnię, że słyszę, jak bębnią głucho maszyny. Zasypiam wreszcie prawdziwie, ale czuję, że śpię, że jestem bardzo znużony i spać chcę długo. Lecz co to!? Zasnąłem ledwie

— kołaczą do drzwi. „Kąpiel gotowa" — woła z korytarza steward.

Szósta: jak żywy ogień do kabiny zagląda słońce, w poziomych jeszcze promieniach mieni się złotem Ocean; dzień, ruch na korytarzach, nie słychać już tętna maszyn. Minęło dni siedemnaście, jak Burgmestr wyszedł z Marsylji.

*

Równik—na statku uroczystość: powitanie Neptuna, który przychodzi w odwiedziny, i chrzest podróżnych którzy są na równiku po raz pierwszy. Znana, skądinąd sympatyczna bardzo ceremonja, obchodzona przez marynarzy całego świata, opisywana tyle razy! Nie dowierzając Niemcom, idziemy za przykładem Anglików i prosimy, żeby na udział nasz w obchodzie nie liczono. Francuzi zresztą i Szwedzi poprzestać wolą również na roli widzów. Święto ma charakter niemiecki, czysto rodzinny. Nie zawiodły nas przeczucia: całość trywjalna była i bez smaku. Młodszych pasażerów drugiej i trzeciej klasy łowiono poprostu i rzucano do dużej kadzi z wodą, co oznaczać miało chrzest, a było zwykłem znęcaniem się i swawolą. Wieczorem odbył się obiad galowy, przy którym wygłoszono dużo „extra-dowcipnych" toastów i doręczono niemniej „udane" metryki chrztu. Na zakończenie uroczystości kapitan oznajmił, że nazajutrz wieczorem staniemy w Mombasie.

*

Więc to już! — Połowa pasażerów opuszcza Burgmestra w Kilindini-Mombasa. Lądują podróżni do Protektoratu, do Wielkich Jezior, do Ugandy, a nawet do południowego Sudanu i do Kongo. W Mombasie pierwsza stacja kolei, wiodącej w głąb lądu.

Na statku do rana ruch mimo upału niebywały. Pasażerowie, zlani potem, kręcą się, śpieszą, odszukują bagaże w składach, rozpłacają się z barem i ze służbą. Pełnych osiemnaście dni byliśmy na morzu. Odwraca się nowa, a tak ciekawa karta księgi życia.

Na pokładzie leżą już gotowe stosy całe skrzyń, skrzynek, worków, pudeł z bronią i żelaznych walizek używanych na safari. Uporządkowawszy rzeczy swoje i sprawy, zaszedłem do fryzjera. który, dla lepszej „samoobrony", ostrzygł mnie przy samej skórze. Po sjeście, żegnając się ze statkiem i już nieobecny myślą, byłem raz jeszcze u Somalisów, gdzie miałem przyjaciela psa, potem pożegnałem się ze starym majtkiem pokładowym. który darzył mnie szczególnemi względami i, poczęstowawszy czarną „bibi" ostatnim papierosem, oddałem się swobodnie oczekiwaniu, które przyjemnością wielką bywa niekiedy samo przez się. Wpatrując się w horyzont, rozmyślałem jaka będzie, jak objawi mi się ta prawdziwa Afryka, czy nie doznam rozczarowania?

Podawali herbatę, kiedy przechodzący steward rzucił od niechcenia: — „land". Sięgnąłem skwapliwie po lornetkę. Na skraju widnokręgu, daleko, ledwie dosięgalnie dla oka, majaczyło coś, jak cień, jak szara chmurka na wodzie. Wpatrując się uporczywie, odgadłem raczej niż rozpoznałem, że nad niskim, niewidzialnym jeszcze brzegiem kłębią się dymy. Sucha pora roku, okres wypalania traw i pożarów; pali się cała Afryka. Pierwsi żeglarze mówili prawdę, opisując te brzegi.

Narazie ziemia zniknęła jeszcze i nie ukazała się, aż pod wieczór. Bliższy teraz, niski brzeg, pokryty był żywą, ciemną roślinnością, wśród której rozpoznać można było na tle nieba sylwetki pojedyńczych drzew. Od ziemi miękkiem, ciepłem tchnieniem niosło aromaty rozgrzanych roślin i swąd pożaru. Za czarny wał zarośli na wybrzeżu kryło się właśnie słońce, kiedy statek zboczył na prawo i popłynął wprost ku lądowi, na zapalające się już zorze. Jak w Port-Saidzie albo w Suezie, zapadał wieczór, ale otoczenie tu było zgoła odmienne. Wejście do portu otwierało się między zarośniętemi, już ciemnemi ścianami brzegów, jak mroczny korytarz, w którym daleko, w głębi połyskiwały światła. Do tamtych portów, oświetlonych jasno, pełnych życia i gwaru, wchodziliśmy z muzyką, tutaj ciemno było i głucho, a statek płynął cicho, tajemniczo, jak gdyby zakradać się próbował do zakazanej przystani. Ostatnie dziesięć minut posuwał się ledwie, a śruba poruszała się tak leniwie, że słychać było przelewające się, zbudzone przez statek fale.



Z albumu Autora.

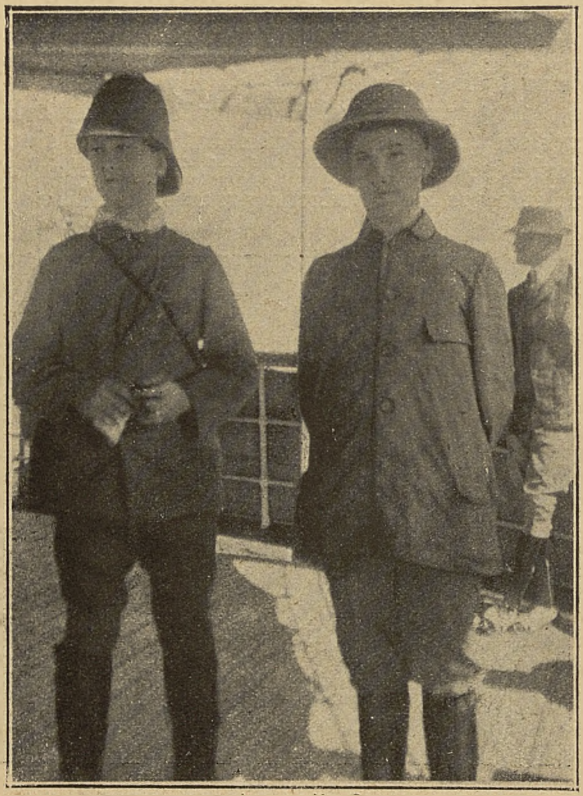
Tygodnie całe mieliśmy przed oczami niebo tylko i wodę — pojawiający się rekin albo statek na widnokręgu były epizodami dnia. Wszyscy więc spragnieni są nowych wrażeń i zobaczyć chcą Kilindini. Część podróżnych, jak L. i ja, ląduje, inni ciekawi są pierwszego, prawdziwie egzotycznego portu, do jakiego zawija Burgmestr. Urok wieczornej godziny i „nieznanego", które nas czeka, wygląd wybrzeża, na którem, na tle gwiaździstego już nieba, rysują się czarno strzeliste kolumny palm i rozłożyste, olbrzymie konary baobabów, a wreszcie niepokojący, niezrozumiały aromat pożaru, działają na wyobraźnię i budzą pojęcie świata nowego, obcego dla zmysłów białego, w którym wszystko jest zagadką. Nastrój wyczekujący, skupiony, niemal uroczysty; podróżni, pod wrażeniem chwili odzywają się półgłosem tylko. Już nieobecny myślą, każdy żyje w sobie i już tylko dla siebie odgadując, czy rzeczywistość, która oczekuje go za ciemnym korytarzem, nie zawiedzie nadziei piastowanej w duszy.

Przy wejściu do przystani mijamy sterczący nad wodą kadłub zatopionego statku, jak ostatnie memento przed wejściem do królestwa Sfinksa. Jeszcze jeden, ostatni bukiet palm, otworzyła się tafla przystani i zajaśniały światła na wybrzeżu Kilindini-Mombasa. Jesteśmy u progu Czarnego Lądu.

NA PROGU

Kto widzieć zechciałby na ziemi piekło z obrazka, niech jedzie do Afryki i w jednym z dalekich, zapadłych portów, lądować spróbuje wieczorem.

Jak duchy nocy, zlewając się z ciemnością, w której połyskują białka ich oczu, czarne postacie mają coś niesamowitego, coś, co budzi w duszy niepokój, jak zły sen, albo wizja w gorączce. Ogarnęli statek, wszędzie ich pełno, aż dudnią od bosych nóg deski pokładów.



Towarzysze podróży na Burgmestrze.

Nie pomogły pięści steward'ów, ani szpicrózga oficera: „czarnych djabłów" jest, jak mrówek, zbyt dużo. Już porwali bagaże i uciekają do łodzi.

Nasze protesty i interwencja agenta, który oczekiwał nas i był na statku, pozostały bezsilne; ani porozumieć się z tragarzami, ani ich rozpoznać i dopatrzyć naszych rzeczy nie byliśmy w stanie. Strzeżemy więc tylko broni i cenniejszych skrzynek z odzieżą i pieniędzmi, których staramy się nie stracić z oczu. Koniec końców znalazło się w łodzi pełnej po brzegi wszystko; na statku zdaje się nie zapomnieliśmy niczego.

Zeskakując ze schodków, o mało nie złamałem nogi, aż wreszcie, mieszcząc się na stosie bagaży, odbijamy i płyniemy na brzeg, na komorę, gdzie odbyć się ma clenie naszej myśliwskiej chudoby.

Za nami, sam jeden na czarnem tle nocy, ogromny, świecący Burgmestr patrzy na nas jasnemi oczami okrągłych swych okien — po raz ostatni. Żegnam go nie bez uczucia wdzięczności. Wszak jego to zasługa, że podróż odbyliśmy bezpiecznie i zdrowi stanęli u celu.

Jesteśmy u kresu; przed nami leży ta upragniona Afryka, bliska, pachnąca. Śpi teraz, ale ciemności, w które się otuliła, zwiększają jeszcze urok tajemnicy i drażnią wyobraźnię. Jaką ukaże nam się jutro rankiem, kiedy obudzi ją światło słońca? — W tej chwili to prawdziwy „Czarny Ląd", pokryty mrokiem, niedostępny dla wzroku.

Wobec przepychu gwiaździstego nieba, na tle czarnej ściany potężnych drzew, światła zapalone ręką człowieka nikłe się wydają, słabe, jak gdyby bezsilne już i gasnące. Znać, że człowiek intruzem tam jest i gościem dopiero, że w całej swej przewadze panuje tam jeszcze przyroda.

Łódź przybiła do brzegu, tragarze wydobyli z niej bagaż i na głowach ponieśli na komorę. Dzięki pomocy agenta i przygotowanym naprzód wykazom przedmiotów, a głównie dzięki sprawności czarnego celnika Zulusa, przewracającego oczami, jak w modlitwie, poszło wszystko gładko i szybko. Skrzynki z napojami tylko, amunicja i broń pozostały na komorze do dnia następnego, bo potrzebnego urzędnika nie było już w biurze. Opóźnienie to krzyżowało nam plany i przyprawiało o stratę czasu, bo pociąg w stronę Wielkich Jezior wychodził nazajutrz w południe i mało było nadziei, abyśmy na czas zdążyć mogli. Na następny zaś czekać wypadało dwie doby, w niezdrowej, gorącej Mambasie. Nie było rady! Wysłuchawszy więc złowrogiego wyroku, z goryczą w duszy, ruszyliśmy do miasta na nocleg.

Uczucia oszołomienia i podziwu, jakich doznałem, wstępując na gorącą ziemię Afryki, opowiedzieć nie umiem i nie śmiem.

Słowa i skala porównań ludzi z północy są zbyt blade i zbyt ciasne, aby ująć w nie porywającą, żywiołową siłę wrażeń, jakich doznaje tam od pierwszej chwili biały człowiek. Wobec potęgi przyrody podzwrotnikowej i kipiącego w niej życia, wobec wiru, jaki ogarnia zmysły, przybysz odczuwa niemoc i własną znikomość. Obok zachwytu ogarnia go coś, jak lęk, jak głucha świadomość potęgi wielkiej, nieznanej, może wrogiej, wobec której stoi bezradny.

Za bramą, którą wyszliśmy z portu, otwierał się przed nami naoścież obcy, zdumiewający — Czarny Świat.

Gorące, wilgotne powietrze, upajające od aromatów i od esencji, wypoconych z roślin w skwarze słońca, ogarnęło nas, jak w cieplarni. Ziemia, rozgrzana za dnia, dyszała jeszcze żarem, a pod stopami i w powietrzu, jak srebrne miniaturowe dzwoneczki, strzygły mirjadami głosów świerszcze i cykady; nieustannie, dźwięcznie, jak zegarek, jak gdyby to w uszach dzwoniło tylko. Na tle srebrzystego szeptu tego, płynącego równo, jak woda, słychać było nieznane głosy ptaków nocnych i uparty, dolatujący zdaleka, zmysłowy rytm „Ngomy", tańczonej przez murzynów w takt bębna. Tak, to był inny świat; niezrozumiały dla zmysłów białego i dla jego wyobraźni niedostępny.

Pierwszy mój wieczór w Afryce do snu był raczej podobny, a nie do wrażeń turysty.

Z cienia, ciemniejsze niż noc, wychodziły czarne postacie ludzkie, odziane biało albo wzorzyście; mężczyźni, kobiety, odróżniać nie umieliśmy jeszcze. Przy drodze bezładnie czerniały wielkie wachlarze palm, do parasoli podobne akacje i olbrzymie baobaby, wobec których lipy nasze i dęby odwieczne wydałyby się karłami. Wysoko, między konarami, bez szelestu, snuły się czarne, wielkie nietoperze; w ciszy pachnącej, odurzającej nocy tętniała erotyczna „Ngoma".

Gdzie nad sklepieniem drzew przeświecał prze-

stwór, mieniło się od gwiazd obce niebo. Potężny, dziki czar, który tam był dokoła, odbierał świadomość; można było tylko patrzyć, słuchać i upajać cię otoczeniem.

*

Trzy kilometry, jakie dzielą Kilindini od Mombasy, przebyliśmy w „trolly", małym, otwartym tramwaju na szynach, nie ciągnionym przez konie, których z powodu klimatu mało jest na wybrzeżu, lecz popychanym z tyłu przez czarnych, najpospolitsze tam i — najtańsze zwierzę pociągowe. Droga do miasta prowadziła między czarnemi, wysokiemi ścianami drzew, przez które, tu i owdzie, przedzierały się światełka; od aromatów w powietrzu trudno było oddychać.

Po dwudziestu może minutach stanęliśmy przed oświetlonym jasno hotelem Métropole, jak w Paryżu albo w Londynie. U wejścia, pomagając wysiadać, powitała nas gromada czarnej służby i gospodarz, kłaniający się gentleman w białym smokingu, z twarzą barwy cynamonu, pół Grek, pół Hindus — Goanez.

Jeżeli chodzi o szczęśliwy dobór wartości moralnych i zalet charakteru dwóch ras, ma to być, jak mówiono mi później, kombinacja niedościgniona. Przekonać się zresztą o tem mogłem na wstępie zaraz, osobiście. Ledwie nawiązana, zapowiadająca się jaknajlepiej znajomość nasza, wystawiona została na ciężką próbę. Widząc go, zwierzę skończone, znęcające się dziko nad małym murzynkiem, który podźwignąć ciężkiej paki z amunicją i ponieść na piętro nie był w stanie, zwróciłem mu, zresztą grzecznie bardzo, uwagę, że skrzynka za ciężka jest na siły dziecka. Kiedy w odpowiedzi odburknął mi arogancko, a chłopca leżącego na ziemi kopać począł i okładać batem, wybuchnąłem również i, nie bardzo zastanawiając się co robię, gentleman'a wypoliczkowałem potężnie.

Ochłonąłem natychmiast i, słuchając w pokorze wymówek mego towarzysza, robiłem sobie w duszy gorzkie wyrzuty. Potrzeba mi było grać Don-Kiszota i jeździć na koniec świata bronić murzynów! Wyprawy żal mi było strasznie, a przygotowany byłem na wielką awanturę, na sąd, może na uwięzienie. Angielski poddany, na angielskiem terytorjum! Na szczęście, poszkodowany zajście to mniej wziął do serca niż ja, sprawca złego, i przebolał je łatwo. Ostatecznie pozostaliśmy nawet przyjaciółmi, a tylko na odjezdnem wystawił rachunek, w którym odszukać można było między wierszami koszty mego temperamentu; zapłaciłem, rozumie się, bez targu.

Innego wymiaru sprawiedliwości nie pożądał, bo, jak dowiedziałem się potem wypadkiem, wyboksowany raz już w podobnym wypadku przez pewnego Amerykanina, oskarżony został w dodatku o pastwienie się nad krajowcami i po wyleczeniu dwóch złamanych żeber siedział miesiąc w więzieniu. Jako recydywista więc, wolał nie narażać się na rozprawy sądowe i pretensje swe obliczyć na — funty. Już tego samego wieczoru, podczas obiadu, zjawił się w sali jadalnej w świeżym smokingu i, uśmiechnięty, mimo obrzękłej twarzy, jak gdyby nigdy nic, zapytywał uprzejmie, czy smakuje nam kuchnia i dość podają lodu.

Obiad zresztą, pomijając piekielne *„curry and rice"*, po którem w ustach zapala się ogień, był rzeczywiście wyborny, więc pochwały ułagodziły go ostatecznie. Swoją drogą nie dowierzałem mu, podejrzewając w duszy, że gotuje mi jakąś niespodziankę i odechnąłem prawdziwie dopiero nazajutrz w wagonie, opuszczając Mombasę.

Zarówno architektura hotelu, jak jego urządzenie i tryb życia, choć europejskie niby, cechę nosiły egzotyczną. Rozłożysty, jak otwarty parasol, cienisty okap, murowane, grube ściany, okna bez szyb, zasłonięte szczelnie żaluzjami, wysokie pokoje i drzwi na przestrzał, zabezpieczać mają od słońca i dostarczać powietrza jaknajwięcej. Prócz osłoniętych białemi, muślinowemi mustykierami łóżek, stołu i paru krzeseł, w pokojach mebli nie było żadnych. W obszernym przedsionku za to dużo kwiatów, palm, stoliczków i rozkładanych, trzcinowych foteli do siesty.

W sali jadalnej pełno: turyści, myśliwi, znajomi z Burgmestra, parę dam angielskich i oficerowie miejscowi przejazdem z Nairobi. Rej oczywiście wodzi komiwojażer z Bremy czy z Hamburga; słychać go na drugim końcu sali.

Snując się cicho, jak koty, czarna, bosa służba, odziana malowniczo w czerwone figara i białe koszule do kostek, roznosi półmiski i bez rozkazu dolewa wody z „barafu", t. j. z lodem.

Butelka ze złotą główką, z której pijemy „za pomyślność wyprawy", nadaje nam charakter gości „lepszego gatunku" i zapewnia względy gospodarza, który staje się uprzedzającym, a nawet honoruje nas wyraźnie. *Timeo Danaos*. Nie dowierzałem mu mimo wszystko.

Z wyjątkiem miejscowej morskiej ryby, czerwonej, jak pomalowanej karminem i, mówiąc nawiasem, wybornej — potrawy europejskie, a tylko przyprawione niezmiernie ostro i pieprznie. Owoce za to, których stosy całe obnoszą na deser, niezrównane. Jak dzieci, próbowaliśmy wszystkich, bo, oprócz ananasa i mandarynek, znaliśmy większość tylko z opisu.

Pod sufitem, rzucając cień na oświetlone stoły, trzepotała się ogromna, ruda ćma.

Afryka! Afryka w każdym szczególe, w każdym calu!

Wrażenie to spotęgowało się jeszcze, kiedy w pokojach naszych, wśród ciszy nocnej, zostaliśmy sami.

Za oknem, przez które widać było gwiazdy na niebie i nieruchome, czarne liście palm, w powietrzu parnem, gorącem, dusznem od zapachów, płynął chór głosów obcych, niezrozumiałych: nawoływania ptaków nocnych, lecących powietrzem, dalekie dudnienie „Ngomy", erotyczne rulady czarnych, wabiących się w ciemności, i odurzające, płynące dzwonienie świerszczów, donioślejsze jeszcze w nocnej ciszy.

W pokojach, przyciągnięty światłem, widoczny zdaleka na białych ścianach i na mustykierze, zebrał się cały potworny, miniaturowy świat owadów. Jedne pełzają, wlokąc za sobą czarny, aksamitny ogon, inne wysmukłe, na wysokich nogach, jak pająki, podobne do zielonego źdźbła trawy, kolankowate liścienie. Najwięcej lata w powietrzu i, brzęcząc dokoła lampy, tańczy upartą, zawziętą sarabandę.

Afryka! — mówi to każdy zmysł, każde wrażenie. Uczucie obcego, nieznanego stawało się plastycznem, dotykalnem prawie, aż oszołomiona myśl błąkała się, szukając na czemby oprzeć się i zatrzymać. A wrażenie to było tak silne, że kiedy w dzikim chórze rozległo się pianie koguta, poczciwego, domowego koguta, oznajmiającego godzinę, jak na folwarku, spojrzeliśmy na siebie z uczuciem ulgi. Ach, przecież!... Przecież jeden głos znajomy! Więc to nie sen, więc to nasza planeta jeszcze.

Spać mimo zmęczenia nie mogłem i wsłuchiwałem się w tajemniczy pogwar nocy afrykańskiej — długo.

(D. c. n.)

STANISŁAW ZABOROWSKI



Franciszek hr. Pusłowski ze swemi 4-ma wilkami, ubitemi na jednem stanowisku. Fot. Roger hr. Raczyński.

NOWOROCZNY DAR ŚW. HUBERTA

Panu Majorowi Stanisławowi Sanockiemu, Łowczemu Wojskowego Towarzystwa Łowieckiego — na pamiątkę.

Stary Ostapczuk już od kilku dni tropił je, lecz bez skutku. Właśnie dziś zdawało się, że wreszcie zalegly w trzydziestym piątym oddziale w haszczach, wśród kęp olszyny między łozami. Próżna jednak była jego nadzieja. Już trzy czwarte ostępu obszedł i serce zaczęło staremu bić żywiej, gdy od strony gródeckich łąk znalazł między krzakami wilczy trop wyjściowy na cudzy teren. Zawrócił do lasu. Zaklął zcicha i, przysiadłszy na powalonym przez burzę świerku, skręcił papierosa z machorki, której zapach przeniknął od lat jego brodę i kożuch.

A wilki od dwóch tygodni buszowały po trojanowieckiem leśnictwie i w okolicy. Póki mróz nie ścisnął i śniegi nie spadły — tylko w kilku miejscach na rozmiękłej od deszczów ścieżce dwukrotnie widziano ślady wilczych łap, ale nie rabowały nic w miejscowych gajówkach i chutorach, więc tylko domyślano się ich istnienia.

Za to teraz. Teraz, gdy stary basior po długiej wędrówce w odległe strony ściągnął znów w dawne swoje okolice i zaczął zwoływać po nocach całą watahę, rozproszoną i polującą na własną „łapę". Zaczęły chodzić gromadą — osiem sztuk szarych śmiałych rabusiów. Dały się dobrze we znaki okolicznym wioskom i gajówkom. Ginęły cielęta, prosiaki i psy, a po nocach brzmiała, jak złowróżbny sygnał, ponura wilcza skarga. Tropów wilczych namnożyło się w lesie i gajowi ze starym tropicielem Ostapczukiem na czele chodzili na przeszpiegi.

Aż przyszła trzydniowa zawieja śnieżna i pokryła cały las nowym całunem, naniosła nowe zwały śniegu, zatarła ślady, drogi — wszystko. Co żyło w lesie — pochowało się gdzie kto mógł w zaciszne miejsca, pod łapy świerków, stare zwały drzew i wykroty, dając się zasypać śniegiem.

Od trzech dni wilcza wataha głodowała. Już dawno szybko trawiące wilcze żołądki wessały resztki pięknego kozła, który, mając do obrony jedynie szybkość, uległ wkońcu przemożnej sile i, osaczony na łące, rozerwany został na sztuki.

W nocy zawieja przybrała na sile, po lesie szedł świst i łomot. Niosło całe tumany śniegu, waliło taranami wichru.

Stary basior stał na brzegu polany — pyskiem do

wiatru, za nim po krzakach reszta gromady. Głód skręcał wilcze kiszki. W taki czas nawet czuły wilczy nos nie chwyci lubego wiatru zdobyczy. Ach! — poczuć znów pod kłami drgające żywe mięso, buchającą krew, zanurzyć pysk w trzewia i rwać, rwać, aż do zachłyśnięcia żłopać krew, napełnić żołądek, czuć nowe życie wstępujące w skostniałe i wychudłe ciało. Tej nocy napróżno cała wilcza kompanja przedzierała się przez gąszcze w poszukiwaniu zdobyczy. Raz jeden tylko któraś z młodych wilczyc wpadła w dół zawiany śniegiem i trafiła na ukrytego w nim zająca, który prysnął między jej łapami i rozwiał się w śnieżnym tumanie. Drażniący zapach ciepłego mięsa podniecił tylko wilcze apetyty. Napróżno jednak brodziły wśród zasp, pod samemi chałupami w wiosce. Psy pochowały się głęboko między i pod budynkami, wszystko zamknięte, zawiane na mur. Tego ranka wilki, znużone próżną wędrówką, zaległy w wykrotach między świerczyną i tylko podczas drzemki darły czasem pazurami śnieg w urojonym gonie.

Wreszcie trzeciego dnia koło południa uspokoiła się zawieja. Śnieg przestał padać. Z ludzkich osiedli biły ponad lasy prosto w niebo słupy dymu. W lesie zaczął się ruch. Drogami przebijały się z trudem sanie. Komu wypadło przecierać pierwszy ślad — ten dobrze namęczył się tego dnia, rozkopując zaspy i usuwając śniegołomy.

Wieczór nadszedł cichy, księżycowy. Wilki podniosły się wcześniej — głód dokuczał. Sunęły sznurkiem za starym basiorem. Podeszły pod wieś. Psy poczuły swych wrogów odwiecznych i w bezsilnej złości podniosły skowyt na alarm. Stary Iwaśko, najbliżej lasu siedzący, w obawie o swoje owce rozpalił na postrach ognisko na brzegu polany. Tego wieczora długo szemrała wieś, aż wilki znudzone porzuciły próżne czaty i gnane głodem buszowały po lesie za żerem. W pewnej chwili blisko łozinowych haszczy, w dwudziestym ósmym oddziale, wilki poczuły tak bardzo pożądany zapach mięsa. Na środku polany, między dwoma stogami czernił się na śniegu wzdęty, krwawy kadłub koński. Stary basior wysunął się pierwszy z gromady i węsząc pilnie okładał zdala końskie ścierwo. Pół nocy krążyły wilki wokół padła — węsząc i wyjąc. Wreszcie odważniejszy młody wilk nie wytrzymał i skoczył do zdobyczy, — lecz w tej chwili poczuł na karku silny chwyt starego prowodyra. Długo trzaskały na siebie zębami, jeżąc sierść na karkach i grzbiecie, aż wreszcie stary prowodyr po kilku podejściach i uskokach — dopadł pierwszy ścierwa. Po chwili już cała gromada zanurzyła się w końskim kadłubie. Trzask dartego mięsa i łamanych kości, oraz warkot wilczy obwieszczał leśnym ostępom ucztę rabusiów.

Tej nocy obdarły konia doczysta. Przepastne brzuchy wilcze, napełnione żarciem, wyglądały, jak dobrze nabite worki; zdeptany wkoło śnieg i resztki potrzaskanych kości dobrze świadczyły o powodzeniu zastawionego padła. Przed świtem obżarte wilki nie poszły daleko. Zaległy. Tak blisko był znany im oddawna ostęp pełen zwałów, śniegołomu, zakryty kępami olszyn, dobrze zagęszczony łozą i trzciną. Wprawdzie stary basior kilka razy podnosił się jakoby zaniepokojony i zanurzał w gęstwinę; reszta wilków jednak, leżąc w miękkim puchu śniegowym, nie ruszała się z ciepłych miejsc. Wreszcie i stary przewodnik uspokoił się i umościwszy legowisko wśród kęp — zapadł w czujny, niespokojny sen.

Nadszedł jasny, spokojny, bezśnieżny ranek. Drogą od leśniczówki w pobliżu ostępu, gdzie zaległy wilki, przesunęły się bezszelestnie po miękkim śniegu małe jednokonne, bose saneczki. Z sanek bystre siwe oczki starego Ostapczuka dostrzegły nagi, ogryziony szkielet koński. Drgnęło silnie serce starego. Nareszcie, po tylu dniach mordęgi — wzięły wilki konia, podrzuconego przecież od tygodnia.

Ostrożnie, bezgłośnie sunęły dalej sanki, teraz już żywym truchtem — i nic już nie mąciło spokoju wilczego snu.



Mjr. St. Monkielewicz z ubitym wilkiem.

Dopiero koło południa stary osacznik, po obcięciu ostępu i przekonaniu się, że wilki leżą — z trzema ludźmi na dwóch saniach zaczął ostrożnie lecz szybko rozwieszać i zaczepiać przywiezione fladry. Cały czas drżeli w obawie, że spłoszą, że cała robota na nic. Wreszcie na godzinę przed zmrokiem sznury zamknęły w swojem kolisku wilcze stado.

Stary, rozklekotany telefon w leśnictwie pracował tego dnia nadmiernie. Szarpano jego zaśniedziałe, spracowane druty stanowczo zbyt nerwowo. Opierał się jak mógł — ale wreszcie ustąpił i posłał w daleki świat, o setki kilometrów zwięzłą ale jakże doniosłą wiadomość: „Wilki w sznurach. Przyjeżdżać".

Drżały wilcze serca w niespokojnym, przerywanym śnie w kniei, drżały serca osaczników w obawie o dalszy los ich żmudnej pracy, drżały z emocji serca myśliwych w odległem mieście, zawsze zresztą związane niewidzialną nicią z ukochaną knieją.

Ile rozmów, krótkich ale treściwych, miało miejsce tego sylwestrowego wieczoru, ile odwołań rozrywek, dawno umówionych, — zliczyć trudno.

Nocny pociąg z Warszawy na Sarny, pusty zwykle, w dwóch przynajmniej przedziałach napełnił się postaciami, przybranemi wcale nie „sylwestrowo". Dłu-

gie rozmowy, przepojone nadziejami i obawą, — zamilkły dopiero dobrze po północy. Myśliwi tej nocy drzemali na niewygodnych ławkach w wagonie napewno niemniej nerwowo, niż wilki w swym ostępie.

Dobrze przed świtaniem zasapana, oszroniona lokomotywa dociągnęła nareszcie gromadkę myśliwych do Trojanówki, wśród lasów zagubionej.

Zmęczone, blade twarze myśliwych owionął zapach lasów sosnowych, ogarnęła ich bezkresna biel śniegów — i wielka, radosna nadzieja napół z obawą.

A w kniei tej nocy dziwy się działy w naszym ostępie. Późnym zmrokiem stary basior przemógł ogarniające go lenistwo i pierwszy podniósł się z legowiska. Przeciągnął wolno w kierunku wejściowych tropów. Za nim pomału, ociągając się, zbierała się reszta wilków. Przewodnik podchodził wolno ku łące, sunąc szaro-żółtym cielskiem między łozami, jak cień. Nagle wilcze nerwy szarpnął niezwykły widok. Wśród kęp w łozach poruszały się wolno ciemne języki, jaskrawo odbijając od śniegu w świetle wschodzącego księżyca. Sierść na karku zjeżyła się i warkot, jak werbel, zagrał w ściśniętej strachem gardzieli. Szybko cofnął się w ostęp i rwał mocno w przeciwnym kierunku, ku gęstej świerczynie; na drugiej stronie ostępu zwolnił. Podchodził cicho ku miejscu, gdzie ściana świerków ustępuje na chwilę miejsca ścieżce i przechodzi w młody sosnowy zagajnik. Wyjrzał ostrożnie. Przez środek zagajnika przechodził szereg ruchomych podłużnych cieni — jak złowrogi znak — zawalidroga.

Szarpnięte nagłym skurczem strachu serce wilcze rzuciło ciałem w tył. Teraz już w szalonym pędzie uderzał naoślep w kilku miejscach wyjściowych z ostępu, nie bacząc na osłonę. Wszędzie jednakowo zwisały lekko poruszane słabym powiewiem czarne teraz w poświacie księżyca, podłużne cienie.

Wilczą gromadę ogarnęło okropne uczucie strachu. Na chwilę zaległy wśród kęp z wywieszonemi jęzorami, sapiąc ze zmęczenia. Stary basior podniósł po chwili stado do nowego biegu. Teraz szły wzdłuż sznurów. Czasami, gdy natknęły się bliżej na fladry, aż odrzucał je od linji sznurów wstrętny, nienawistny zapach ludzki. Teraz już wiedziały. Czuły dobrze, że cały ten sznur powstał z woli człowieka. Biegły tak długo wzdłuż fladr, aż natknęły się na swoje własne tropy. Teraz zrozumiały — nie było wyjścia. Z głuchym warkotem ruszył stary basior na polanę obok zżartego konia. Siadł na zadzie, po chwili wstał i prowadząc łbem od śniegu ku górze zaniósł się rozpaczliwą wilczą skargą. Inne za nim. Koncert trwał do świtu, przerywany tylko nowym beznadziejnym biegiem wzdłuż sznurów. W kilku miejscach stary basior z odwagą rozpaczy próbował przerwać się przez fladry, ale zawsze w ostatniej chwili okropny skurcz strachu powstrzymywał go od tego. Pozostały tylko ślady łap, wyryte głęboko w śniegu. Z nastaniem dnia spokój zapanował znów w ostępie.

Dobrze już dniało, gdy od strony leśniczówki wysunął się szereg sań. Zatrzymały się w sporej odległości od wilczego ostępu. Z drugiej strony szarzała grupa naganiaczy — Poleszuków w łapciach, pod wodzą gajowych.

Z sanek wyskoczył łowczy. Krótka narada z osacznikami. Rozkaz do naganki: ,,Sznurów nie otwierać. Naganka idzie cicho.

— Ne kryczyty, ne szumity! — tłomaczy stary Ostapczuk.

Zalecenia dla myśliwych: kończyć palić! Na stanowisku — jak mur, bez ruchu! Pierwszy strzał do wilka — następne już do lisa lub dzika!

Naganka zniknęła w krzach, jak duchy.

Myśliwi wolno i możliwie cicho poszli za przewodnikiem.

I znów pustka i cisza zapanowały wokół — do czasu.

Na stanowisku łowczego, oznaczonem numerem piątym — widać w głąb miotu najwyżej na dziesięć metrów. Kępy pod olchami, gęsta łoza. W głębi — ciemno. Knieja pod śniegiem — jak bajka. Cisza — aż w uszach dzwoni.

Nerwy mocno napięte, serce bije, że zdaje się słychać jego uderzenia w lesie. Długie chwile oczekiwania — i niepokój: czy już ruszyli, czy wilki nie wyszły nocą — czy można jeszcze poprawić nogę, która pomimo filców tak bardzo skostniała. W ręce zimno. Broń coraz cięższa. Oczy nieustannie biegają po miocie. Coś ruszyło się z lewej strony — nie — to gałązka, trącona podmuchem wiatru.

Jak dziwnie długo nic nie słychać.

Wreszcie gdzieś daleko w lesie coś stuknęło.

To naganka puka zrzadka po drzewach, czasem któryś z nich złamie gałązkę.

Wolno idą. I cisza. Nic. — I znów niepokój — wilki napewno wyszły — na nic cały trud.

Już zbyt dobrze słychać naganiaczy. Napewno — fiasco. Opada podniecenie — broń znów cięży, chłód przenika pod futro. Jak zmarzły palce u nóg!

Nagle: trach! — strzał z prawej strony. Zaraz potem drugi i trzeci. Serce znów skoczyło do gardła, broń taka lekka! Znów cisza. Krzyk naganki. Już napewno po wszystkiem.

Nagle między kępami olch przesunął się wężowym skrętem lis i zniknął. Jak pięknie odbija na śniegu! Znów buchnął strzał, tym razem z lewej. Lis wyskoczył z lewej strony i śmignął przez łozy. Broń lekko do twarzy — strzał — i lis zapadł między kępy. Szczęknęły zamki — i w tej chwili z lewej strony żółto-bury cień, jak z pod śniegu. Już znika za kępą. Wszystko dzieje się samo: złożenie, strzał — i wilk w skurczu łap grzebiący śnieg, jeszcze kłapie zębami... i czerwień farby na śniegu...

Wielka fala gorąca — pierwszy w życiu wilk!

I zdumienie — że wszystko tak nagle i że już koniec.

I znów z lewa i z prawa strzały — gorączkowe, niecierpliwe, zajadłe.

Krzyk naganki i znów strzał — ostatni.

Ożyła knieja pod krokami dochodzącej obławy. Hałas! Krzyki:

— Dywy, dywy — wowk łeżyt — A wo-o łys.

Nawoływania. Sygnał.

Na linję wyciągnięto pięć wilków i lisa.

Ostatni akt był skończony.

I tylko następnej nocy ocalałe z pogromu wilki wyły rozpaczliwą skargą, zwołując resztę towarzyszów.

Nie przyszli.

KAZIMIERZ NIEWĘGŁOWSKI.

GDY NAGLE OBUDZI SIĘ WIOSNA

Wiosna roku 1933 była dziwnie zmienna. Gorące promienie kwietniowego słońca rzadko rozdzierały oponę groźnych, ciemnych, nisko zawisłych nad ziemią chmur, z których coraz to sypały się drobne, jak kasza, białe okruchy, pokrywające pola i lasy cienką warstewką śniegu, niknącą po upływie godziny. Mroźny wiatr hulał beztrosko nad zrudziałą po zimowym letargu szatą zalanych łąk, szarpał bezlitośnie nagie konary wyniosłych drzew, chylących się pokornie z bolesnym, pełnym skargi jękiem.

Przebywszy pierwszy, 25 kilometrowy odcinek drogi rozklekotanym autobusem, zabryzganym aż po szyby strugami błota, wsiadłem niebawem na jednokonną bryczuszkę, by dotrzeć do majątku Krzyżówka, położonego w pobliżu granicy litewskiej, 34 klm. od Wilna.

I właśnie w chwili, gdym opuścił duszne pudło auta, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, nagle zmieniła się pogoda. Gorące słońce zabłysło na niebie ognistą kulą, roniąc snopy skrzących się promieni na stęsknioną jego pieszczot okolicę. Wiatr ustał zupełnie, w powietrzu pachniało wilgotną, nagrzaną ziemią, od której szedł ciepły wiosenny dech. Wszędzie dookoła wyczuwało się przemożny powiew odrodzonej wiosny, gwałtownie dokonującej przemian w przyrodzie, gnębionej dotąd i tyranizowanej okrutnemi podmuchami zimy. W chwili takiego żywiołowego rozkwitu wiosny każda niemal godzina czyni cuda. Natura budzi się w oczach, szaleje, tętni utajoną dotąd siłą życia.

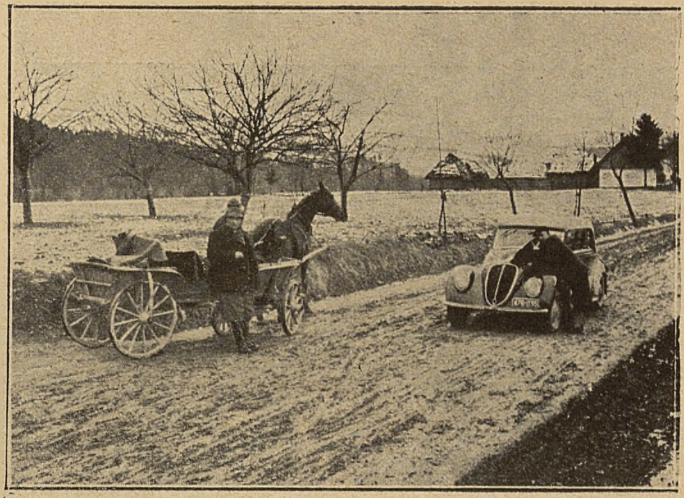
Złoty krążek słońca, wyrzucony wysoko na szafirową kopułę nieba, zaczynał już opadać ku szmaragdowej cięciwie borów, widniejących na horyzoncie — kiedy zajechałem przed ganek starego, malowniczego dworku w Krzyżówce. Było ciepło, jak w maju. Przez otwarte okna płynęły do mieszkania tęgie wonie wiosenne, których pochodzenia nikt ustalić nie potrafi. Z prętów dzikiego wina, osłaniającego białe kolumny ganku, jak duże łzy, spadały niekiedy bujne, przezroczyste krople wody, iskrząc się w słońcu, jak brylanty.

Na czubkach nagich brzóz, rozpuszczających długie warkocze swych wiotkich gałązek nad bramą wjazdową, czerniały małe punkciki siedzących szpaków, których niefrasobliwy świergot leciał deleko nad pogrążonym w ciszy ogrodem, zalanym złotą pożogą zachodu.

Znając me upodobania myśliwskie, uprzejmy i domyślny gospodarz kazał szybko podawać obiad. Jeszcze parę kwadransów miłej pogawędki w salonie i już kroczyłem rozmiękłą polną dróżką, w towarzystwie chłopaka — przewodnika, ku obszarowi mokrych zagajów brzozowych, w których podobno ciągnęły słonki.

Szliśmy przez pola. Rzadka, nieśmiała zieleń runi okrywała namokłe, miękkie zagony. Miejscami w głębszych brózdach lśniły tafle wody, załamującej w sobie ostre blaski gasnącego dnia. Lekki, ledwie wyczuwalny aromat ziemi potężną falą wypełniał płuca, pracujące rytmicznie w takt przyśpieszonych naszych kroków. Z górnych stref nagrzanego słońcem powietrza leciała dźwięczna, jak srebrny dzwonek, piosnka skowronka, trzepocącego się nad oziminą.

O samym zachodzie byliśmy już na miejscu. Stary podmokły las liściasty, wygięty łukowato nad wilgotną łąką i przecięty wzdłuż pasmem wartkiego strumienia — stał cichy, pogrążony w zadumie. Czarne, chropawe pnie olch, wynurzające z szeroko rozlanych kałuż potworne kłębowiska swych kołtuniastych korzeni, tuliły się do białych, wysmukłych brzóz lub zielonkawych osik, okrytych w koronie mgiełką długich, puszystych baziek. Kępy ostatnich, rosnących na skraju drzew łączyły się bezpośrednio ze zwartą kolumnadą młodego brzeźniaka, rozprzestrzeniającego się wąską szyją wzdłuż wstęgi strumienia, aż hen ku widniejącemu w oddali kompleksowi brunatno zarysowującej się olszynki.



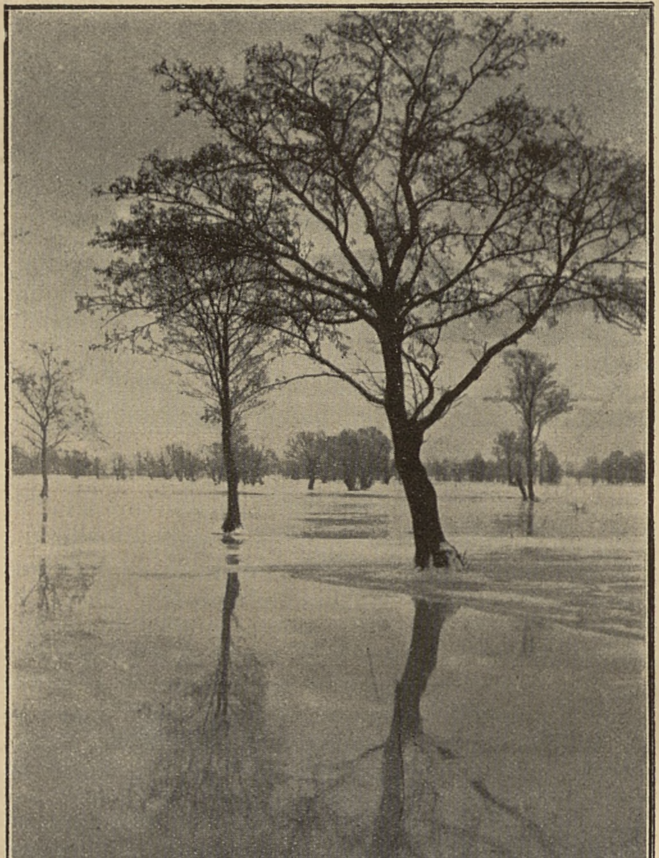
Wymiana samochodu na...bryczkę. Fot. R. Troszok.

Wybrałem stanowisko na szczycie małego pagórka, porośniętego brzeziną i młodemi świerczkami, u podnórza którego z monotonnem bulgotaniem przelewały się mętne, wezbrane wody potoku, głaskane pieszczotliwie nawisłemi gałązkami łóz. Miejsce było wymarzone. Słonki, ciągnące z pobliskiego kompleksu leśnego do dalekiej olszyny, musiały tędy przelatywać. Dość znaczne wzniesienie terenu pozwalało wzrokowi panować nietylko nad wąską szyją brzeźniaka, ale sięgać daleko przed siebie w obie strony zagaju, zakrzywionego w kształcie podkowy.

Usiadłem na zmurszałym pniu, u stóp młodej brzózki i czekałem. Słońce już zaszło. Nieskazitelnie czysty u zenitu szafir nieba przechodził stopniowo ku zachodowi w tony coraz jaśniejsze, by wreszcie nisko nad horyzontem zapłonąć pożogą czerwieniejącego złota, rozlanego w formie aureoli nad zębatą linją lasu. W tych ostatnich refleksach gasnącego światła całe otoczenie pyszniło się mnóstwem barw i odcieni, które przedtem nie występowały tak wyraziście. Dalekie kolumny wyniosłych olch, pokryte już u podnóża czarną zasłoną, płonęły jeszcze u góry piękną barwą starego bronzu. Młode brzeźniaki przysłoniły się welonem ślicznego fioletu, przechodzącego u szczeciniastych wierzchołków w subtelny odcień lila. Rozległa przestrzeń łąki świeciła brudną zielenią, wysrebrzoną miejscami połyskującym nalotem tafli wodnych, coraz liczniejszych przy stalowo-sinej szarfie fantastycznie wygiętego pod lasem strumienia.

Natura wolno układała się do snu. Ucichły już śpiewne nawoływania sikorek, zamilkły zięby, w gąszcze gałęzi świerkowych schroniły się hałaśliwe sójki, pstre dzięcioły zaniechały monotonnego postukiwania. Nieopodal para szpaków z głośnem skrzeczeniem ukryła się w dziupli starej osiki. Tylko kszyk-samotnik ożywiał jeszcze przestworza brzmiącem jak dalekie westchnienie beczeniem.

Na czubku wysokiej brzózki usadowił się drozd. Z szarego rozdętego gardziołka popłynęła w las pieśń nad pieśniami. Podwójne, rytmicznie powtarzane dźwięki leciały nad usypiającą okolicą, jak cudowna fanfara wieczornego capstrzyku. Poszczególne oderwane strofy swej urozmaiconej pieśni ptak wiązał przy końcu kantaty, łączył razem, snuł niby kunsztowne przędziwo — jakąś tajemną, jemu tylko znaną rapsodję, której możnaby było słuchać godzinami z jednakowym zachwytem.



Wiosenne roztopy. Fot. Wł. Tyss

Na sygnał pierwszego drozda śpiewaka odezwały się zaraz i inne. Gęste zarośla nadwodne poprostu drżały teraz od melodyjnych pieni ukrytych tam wirtuozów. Jedne śpiewały blisko, a ich wyraźne, dźwięczne melodje przenikały zagaje do głębi, inne — oddalone może o kilkaset metrów — słyszane być mogły tylko w przerwach koncertu najbliższych artystów. A kiedy odezwały się wszystkie — śpiewał cały las, nuciły zagaje, powtarzała echo okolica.

Lekki cień zmierzchu jął otulać ziemię, powlekającą się od dołu zwiewną gazą oparów. Zgasły ostatnie refleksy dnia na wierzchołkach drzew, morze rozrzedzonej ultramaryny zalewało już widnokrąg i dalsze plany krajobrazu. Jeden po drugim milkły drozdy, spływając bezszelestnie z czubków drzew w przyziemne zarośla. Ciszę w naturze mąciły teraz tylko tęskne głosy roznamiętnionych żab, koncentrujących w nagrzanych kałużach wiosennej wody.

I oto w chwili, gdy zdawałoby się — zaśnie już wszystko i głucha cisza opanuje okolicę — z wysokiej, nagiej jeszcze osiki, popłynął ostatni dźwięk, niby wiosenny pacierz wieczorny, fletowy śpiew kosa. Ukryty gdzieś wysoko wśród gmatwaniny gałęzi, czarny pieśniarz zmierzchu żegnał słabe już, zamierające błyski światła, duszone przemocą wypełzających zewsząd, jak węże, ponurych cieni. Miękkie, artystycznie modulowane trele usypiały, jak kołysanka, zmęczoną całodziennym wysiłkiem naturę, żądną choć chwilowego odpoczynku pod skrzydłami krótkotrwałej kwietniowej nocy.

Oczarowany romantycznością wieczoru, siedziałem nieruchomo, jak posąg, łowiąc tylko uchem poszczególne urywki leśnej symfonji. Skulony nieopodal pod świerczkiem, drzemał mój młodociany towarzysz, oddychając rytmicznie, z lekkiem sapaniem.

Nagle daleko nad szczeciną wierzchołków zagaju dojrzałem trzy ptasie sylwetki, mknące jakby nietoperzym lotem w moim kierunku. Odruchowo powstałem, ujmując w ręce broń. Słonki znikły za drzewami, lecz wprawne ucho ułowiło w ciszy wieczoru ich delikatne przybliżające się chrapanie. Krzyknąłem na chłopaka i w tejże chwili nisko nad strumieniem, na wysokości mych oczu, dostrzegłem lecące ptaki. Wolno machając skrzydłami, wymijały zręcznie sterczące na drodze pręty brzeziny. Jedna ciągnęła przodem, dwie inne trzymały się prawie równolegle, pozostając nieco w tyle. Szybki strzał był kwestją sekundy.

— Spadły!—krzyknął chłopak, ruszając biegiem po zboczu pagórka. Czas jakiś szperał po krzakach i przyniósł obie. Nie wierzyłem własnym oczom: dwie słonki padły od jednego strzału.

Zaczął się ciąg, najpiękniejszy ciąg, jaki dotąd w życiu widziałem. Subtelne gruchania i gwizdy rozlegały się prawie bez przerwy, szare cienie ptaków migały wśród brzeziny to tu, to tam, raz bliskie, tuż nad głową przeciągające, to znowu tak dalekie, że wytężony wzrok nie potrafił nawet odróżnić, czy to była sylwetka długodziobego ptaka, czy też krętolotnego nietoperza. Całe dziesiątki słonek, zatrzymane gdzieś widocznie nastaniem chłodów — ruszyły teraz razem w dalszą drogę. Jak czarne punkciki, pojawiały się w oddaleniu nad pasmem brzeziny, rosły, zbliżały się i śmignąwszy w luce pomiędzy czubami drzew — szły w dal zasnutą sinym mrokiem.

Tempo ognia przybierało stale na sile, garście śrutu smagały bystrolotne ptaki i niewinne gałęzie drzew. Oszołomiony mnóstwem przelatującej zwierzyny, nie zdawałem sobie nawet sprawy z ilości oddanych strzałów. Ale kupka zabitych słonek wzrastała pokaźnie, a zdyszany mój towarzysz nie mógł nadążyć z aportowaniem spadłych sztuk, zwłaszcza, że potęgujący się mrok utrudniał zadanie. Coraz częściej musiałem śpieszyć mu z pomocą, notabene nie zawsze skuteczną.

Nastanie kompletnych ciemności położyło kres dalszym łowom. Znowu jak poprzednio usiadłem na pniu, pogrążając się w zadumę. Nadchodziła noc chmurna, choć ciepła i bezwietrzna. Wprawne ucho w głębokiej ciszy łowiło tylko czasami szmer skrzydeł kaczych, przecinających górne strefy powietrza. Może ciągnęły to gromady ptactwa północnego, albo też okoliczne kaczki leciały na jezioro. W ciemnej masie starodrzewia pohukiwał tęsknie puszczyk. Słonek jednak już słychać nie było — ciąg się skończył.

Przy blasku latarki elektrycznej zrobiłem bilans myśliwski tego przepięknego wieczoru. Na 26 wystrzelonych ładunków miałem w troczkach 17 słonek. Nie kuszę się nawet na obliczenie, ile ich wówczas przeleciało nad mem stanowiskiem. Mam wrażenie, że z powodu dość mozolnego poszukiwania ubitych sztuk, jak również potrzeby częstego ładowania broni — mogłem strzelać najwyżej do połowy ciągnących ptaków.

Wspomnienie tego wieczoru trwale zapisało się w mej pamięci. Myliłby się jednak ktoś, ktoby sądził, iż rekordowa, może raz jedyny w życiu osiągnięta, cyfra zabitych na jednym ciągu słonek odegrała tu decydującą rolę. Wręcz przeciwnie. Równe, a może jeszcze większe zadowolenie dałoby mi wówczas zdobycie tylko trzech sztuk. Dokonana „rzeź" tak pięknej zwierzyny zrodziła nawet później w mej duszy pewien zgrzyt, pewne uczucie niesmaku.

Niniejsze wspomnienie zaliczam do najmilszych tylko ze względu na przepiękny nastrój raptownie obudzonej wiosny, jaki mnie wówczas oczarował. Wiele w swem życiu polowałem wiosną na ciągu. Bywały wieczory naprawdę cudowne, bywały łowy bardzo urozmaicone, jednak prawdziwie niezapomnianą symfonję lasu, przy której serce, jak złapany ptak, trzepoce ze wzruszenia w piersi, a duszę zalewa jakieś niewytłomaczone, bezgraniczne szczęście — taką symfonję, jej niezrównane piękno, jej tajemny upojny czar, przeżyłem dotąd raz tylko w życiu.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

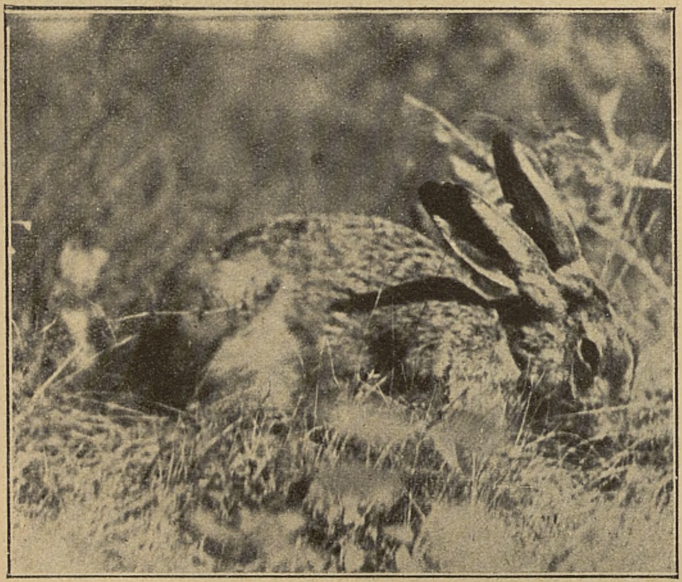


Niezrównany kobiecy kulowy rozkład siedmiu dzików, uzyskany przez p. Marję Kiwerską ze Szczepic (Pomorze) w dniu 9.XII.1938 r. w Szczepicach, a przewyższający wynik drugiego z kolei myśliwego o cztery sztuki.

NA OBCZYŹNIE

Urodził się w końcu marca na Wołyniu, pod rozczochranym krzakiem tarniny, co zuchwale rozparł się na miedzy, biegnącej między żyznemi polami. Blade słońce uśmiechało się jeszcze jakoś niewyraźnie. Ostry wiatr syczał w suchej trawie i gęstych, nagich gałązkach krzaków. Zimno dotkliwe przejmowało mizerne, bezradne stworzonko, okryte tylko lekkim płaszczykiem turzycowym. Miękkie, krótkie niemowlęce słuchy nie podnosiły się zawadjacko nad pyrsami marczaka, a czarne wyłupiaste trzeszcze nie umiały jeszcze dostrzedz i rozpoznać wrogów, zawsze czyhających na życie bezbronnego kota.

Leżał potulnie w kotlinie, razem z równie niedołężnym braciszkiem. Jedynem urozmaiceniem i pociechą małych szaraków były krótkie chwile, spędzane przy łonie matki, która stale gdzieś w okolicy krążyła, podbijając serca walecznych gachów, i dopiero, czując nadmiar mleka, ostrożnie klucząc, powracała do kotowiny.



W letni poranek. Fot. A. Wiśniewski

Jeszcze przed upływem trzech tygodni zaczęła zajęczyca zjawiać się coraz rzadziej i dzieciaki zaspokajały głód, skubiąc świeżą trawkę i listki, lub szperając w oziminach. Matka — zajęta sprawami nowego pokotu — zupełnie już o małych marczakach zapomniała i kicały teraz biedactwa samopas po polu i pobliskim zagajniku, ucząc się trudnej sztuki życia, jedynym wykładowcą której był przemądry instynkt. Nie licząc na swoje słabe dziecięce skoki, małe szaraki płaszczyły się w zaroślach, ratując się przed drapieżcami skrzydlatemi, i kluczyły w gęstej gmatwaninie traw i zbóż, kryjąc się przed liszką przebiegłą, opodal w lesie zamieszkałą.

Razu pewnego po wieczornem żerowaniu zdrzemnęły się zajączki w gąszczu porastającej ugór czarnobylicy. Nagle malec nasz dał kominka w górę, zbudzony przeraźliwem kniazieniem braciszka. Postawił słuchy, nastroszył strzyże — delikatne jeszcze wąsiki — i zachłysnął się ostrym fetorem tchórza, który przed chwilą porwał i udusił beztrosko drzemiącego zajączka. Nieborak, ogarnięty niesamowitem poprostu przerażeniem, pomknął, zakipiał ile tchu starczyło i zaszył się zupełnie zziajany pod gościnnym krzakiem tarniny.

Kilka dni zaledwie minęło, gdy popadł znowu niefortunny szaraczek w inne tarapaty. Kicał sobie po uperlonej rosą koniczynie, wyszukując delikatniejsze listki, kiedy nagle z poza obok rosnących krzaków wypadło jakieś straszne zwierzę — białe w czarne łaty — i z groźnem ujadaniem popędziło za nim. Malec wszystkie siły wytężył, aby umknąć przed nowym nieznanym wrogiem. Wielki kundel, bezprawnie włóczący się po polu i lesie, pewny schwytania słabej ofiary, nawet zbytnio się nie wysilał i gonił zajączka w stronę zabudowań wiejskich, pamiętając o umowie przyjacielskiej, zawartej z pastuchami, którzy razem z nim urządzali wyprawy po jaja ptasie, pisklęta i małe zajączki. Pędzony szaraczek podupadał już na duchu, tracił już siły, a wróg bezlitosny był coraz bliżej, prawie docierał. Nagle szarak zboczył rozpaczliwym susem i pomknął w stronę rzeczki, płynącej pod lasem, bo dostrzegł przed sobą kilku hałasujących wyrostków z kijami. Łaciasty kundel pogonił biedaka jeszcze ostrzej. Zapatrzony w ofiarę, pies nie zauważył szybko biegnącego wzdłuż rzeczki strażnika leśnego, który przez dłuższy czas obserwował gonitwę i teraz postanowił należycie ukarać kundla - kłusownika. Zajączek również człowieka nie spostrzegł i popędził wprost na niego. Gdy znalazł się na brzegu rzeczki, a pies był tuż za nim, padł donośny strzał. Kundel przekoziołkował z głośnym skowytem, a szaraczek — nieprzytomny ze zmęczenia i strachu — stoczył się do wartkiego nurtu. Pływać — nauczony instynktem — umiał nieźle, lecz dziś nie miał sił wydostać się na przeciwległy dość stromy brzeg i dostał się przeto do rąk swego zbawcy — strażnika.

Człowiek z pogodnym uśmiechem pogłaskał mokrą pilśń zajączka, posłuchał pukania przestraszonego serduszka, rozpiął kurtę i wsunął w zanadrze trzęsące się kocię. Ucieszył się strażnik ze swojej drobnej zdobyczy, bo spodziewał się parę groszy dostać za nią od swego pana, który obiecał w tym czasie dostarczyć kilkanaście młodych zajączków jednemu z myśliwych, posiadającemu łowisko w zachodniej połaci kraju, gdzie zwierzostan zajęczy był gorszej, niż na Wołyniu, jakości, chociaż warunki bytowania dla tej zwierzyny były dogodniejsze. Zajączek obsuszył się i wygrzał pod kurtą strażnika i, kiedy wreszcie wyciągnięty został z zanadrza i wpuszczony do jakiejś wielkiej drewnianej skrzyni, począł ciekawie się rozglądać, węszyć, stroszyć strzyże i poruszać słuchami. Kicał wkółko wewnątrz skrzynki, potrząsając omykiem, aż zmęczył się wkońcu i zasnął na świeżej trawie.

Pod wieczór chrupał koniczynę i liście kapusty, a nawet spróbował poskrobać ostremi strugami-siekaczami kromkę suchego chleba. W skrzynce tej mieszkał blisko tydzień. Nadszedł wreszcie dzień odjazdu do stron dalekich. Zajączek czuł się nieswojo; za dużo ludzi, do których coprawda już się przyzwyczaił, kręciło się przy skrzyni. Potem wyciągnięto go z przestronnego domostwa i wpakowano do tak ciasnego pudła, że ledwie w niem mógł się obracać. Napakowano mu smacznej paszy do umocowanej w rogu skrzyneczki drabinki i zamknięto go z góry, przybi-

jając sztachetki w taki sposób, że zostawały między niemi spore szpary. Zajączek płaszczył się w kąciku, przytulał do grzbietu słuchy i starał się siedzieć jaknajciszej. Po chwili jego skrzynka oraz kilka zupełnie podobnych pudełek znalazły się na skrzypiącym i podskakującym na nierównej drodze wozie. Zaczęła się długa podróż. W jakiś półsen, — półjawę niesamowitą zlały się wspomnienia zajączka o tem wszystkiem, co przeżył od chwili umieszczenia skrzynki w wagonie do chwili przybycia do parku zajęczego, gdzie skończyła się jego tułaczka.

Cały czas rozlegały się wkoło gwizdania, okrzyki, trzaski i najróżnorodniejsze obce dźwięki, które szarpały nerwy szaraka i dręczyły jego subtelne słuchy. Nawet apetyt nieborak utracił i prawie nie tknął zadanej mu karmy. Uradowało się nad wyraz małe serduszko, kiedy wóz przystanął wśród lasu, kiedy zamigotała w przyćmionych zmęczeniem trzeszczach jasna zieleń brzózek i ciemne korony sosen na tle błękitu, kiedy szeroką płachtą rozścieliły się falujące łany zbóż i ciemno-zielone kartofliska. Przez szpary w pokrywce pudełka nasz Wołyniak spostrzegł, że wóz skręcił małą dróżyną i wjechał do jakiejś bramy. Wówczas ludzie na zielono ubrani pozdejmowali pudełka z zajączkami i ponieśli je w stronę gęstych krzaków. W pewnej chwili otworzyły się pokrywki i małe zajączki, wychudzone, umęczone podróżą, znalazły się na wolności.

Wołyniak osłupiał najpierw i nie wiedział co ma począć i gdzie się podziać. Potem pokiwał łebkiem i zdecydował się pokicać do zarośli, nęcących go przytulnym cieniem. Zaszył się nieboraczek w gęste krzaki leszczyny i otulił go mocny sen młodości. Wszystkie zmartwienia, niepokoje i niewygody podróży poszły w zapomnienie. Inne zajączki również pochowały się w haszczach, aby zażyć miłego wypoczynku. Kiedy Wołyniak się obudził, był już wczesny ranek. Nie wierząc jeszcze w odzyskanie wolności, zajączek pomału wydostał się z pod krzaka, posłuchał, poczekał chwilę i zwolna pokicał, zatrzymując się przy każdem drzewie i krzaczku. Obwąchując je zapoznawał się z nowem otoczeniem, które nawet zapach miało inny, niż pola i gaje wołyńskie. Znalazł kępkę bylicy, skosztował i stwierdził, że smak ma podobny do wołyńskiej i jest całkiem niezła. O parę skoków dalej rosła akacja, a jej młode pędy, u nasady pnia wyrosłe, bardzo mu do gustu przypadły. Po kilku godzinach zwiedzania natknął się na pólko z wyką, seradelą i owsem, gdzie pokrzepił się ostatecznie.

Pobiegły spokojne, nie mącone napadami czworonożnych i dwunożnych rozbójników dni. Skrzydlatych drapieżników też było niewiele i nie przedstawiały one teraz poważnego niebezpieczeństwa dla dobrze wyrośniętego marczaka. Wołyniak zapoznał się z innymi przedstawicielami rodu zajęczego, mieszkającymi w parku, i znalazł w ich gronie kilku ziomków — reszta pochodziła z Polesia, Wileńszczyzny i ziem Augustowskich. Paszy było poddostatkiem i stosunki między młodzieżą zapanowały bardzo przyjazne.

Minęło lato. Jesień nastała. Zajączki marczaki dorównały wzrostem dorosłym, a młodsze, które przywieziono w międzyczasie, również nieźle podrosły. Gdy poletka przestały dostarczać pożywienia, zaczęły szaraki otrzymywać kapustę pastewną, jarmuż, buraki, owies, marchew i łagodna zima tutejsza absolutnie nie dała im się we znaki. Nasz Wołyniak stał się potężnym poprostu kotem, do którego rówieśnicy odnosili się z wielkim szacunkiem. Szczególnie ujawniała się jego siła w lutym, gdy nastał czas turniejów rycerskich—parkotów. Odpędzał od samiczek inne gachy, policzkując je i nieraz doktliwie kalecząc skokami.

Kiedy wiosna nastała, otworzono bramę i szaraki mogły swobodnie zwiedzać okolice, co też chętnie czyniły. Wówczas dopiero nasz zając mógł dokładnie zapoznać się z właściwościami nowej dla niego krainy. Sumiennie zbadał pola uprawne o wysokiej kulturze, zmeljorowane, pocięte równiutkiemi rowami łąki, porosłe przepyszną trawą, i doskonałe ogrody warzywne w pobliżu schludnej wsi i wzorowych zabudowań dworskich. O mało nie wpadł przy tej sposobności do lisiej paszczy; zapomniał bowiem, siedząc w grodzie warownym — parku zajęczym — o czujności obowiązującej każdego szaraka. Odbywając dłuższe wycieczki po polach i gaikach pobliskich, zetknął się z tutejszą ludnością zajęczą, wśród której wyróżniał się dorodnością i siłą. Miejscowe samice na zabój kochały się w pięknym Wołyniaku, pogardliwie odwracając się od gachów tubylców. Dumny uwodziciel korzystał z każdej okazji i wkrótce wszędzie zaczęła się pojawiać rosła młodzież — potomstwo Wołyniaka, a także jego kolegów i koleżanek z parku zajęczego.



Kicający szarak. Fot. A. Wiśniewski.

Nadeszła jesień — druga jesień w życiu naszego bohatera. Pierwsze strzały na cześć św. Huberta oddane do szaraków oznajmiły połowę października. Nastały ciężkie czasy dla rodu zajęczego! Naszemu Wołyniakowi jeszcze we wrześniu udało się cichaczem przedostać do parku zajęczego przez źle przymkniętą bramę, wślad za strażnikiem, który dozorował pólek pastewnych. W parku mieszkały wówczas nowo przywiezione młode zajączki. Młodzież odniosła się do solidnego szaraka z głębokim szacunkiem, a szczególnem uznaniem cieszył się on wśród młodziutkich ziomków. W parku zajęczym pozostał nasz Wołyniak na zimę, ponieważ spokojnie tu było i paszy różnorodnej miał poddostatkiem. Dzięki temu uniknął konieczności zapoznania się z ławą czeską, kotłem i różnemi innemi niespodziankami, grożącemi szarakom ze strony myśliwych w okresie polowań.

Spokojnie, cicho płynęło życie naszego szaraka na obczyźnie i tak się do nowych warunków przyzwyczaił, że nawet zapomniał o dalekim Wołyniu i o rozłożystym krzaku tarniny, co rozparł się na miedzy, ocieniając kotlinkę, w której po raz pierwszy ujrzały świat jego czarne, wyłupiaste trzeszcze.

Inż. WŁODZIMIERZ LINDEMANN.



Rosochy słynnego łosia kopalnego z Wielkopolski.

PASYNKI CZY PASEMKA?

W toku dyskusji na temat: „pasynek" czy „pasemko", p. kpt. Kobylański zacytował (Ł. P. 1939, Nr. 5 z dn. 1 marca) słowa językoznawcy, docenta U. J. K. we Lwowie, dr Stanisława Rosponda, które nie odnosiły się wprawdzie do tej sprawy, ale miały, zdaniem kpt. Kobylańskiego, poprzeć przez analogję jego wywody. Okoliczność ta zachęciła mnie do zwrócenia się bezpośrednio do dr. Rosponda, badacza głośnego dziś z powodu nazw: Olza, Zaolzie, i zapytania go o opinję w sprawie nazwy, o którą chodzi. Po dokładnem zbadaniu zagadnienia dr. Rospond był łaskaw nadesłać mi opinję, którą przedkładam niniejszem Szanownej Redakcji z uprzejmą prośbą o zamieszczenie na łamach „Łowca Polskiego".

WITOŁD ZIEMBICKI.

Od dłuższego czasu toczy się na łamach „Łowca Polskiego" (1938 r. str. 123, 167, 329, 664; 1939 r. str. 160) oraz „Łowca" (1938 str. 211) dyskusja na temat: jak się powinny poprawnie nazywać odnogi od łopaty (rosochy) łosia: *pasynki* czy *pasemka?* Językoznawca z prawdziwem zadowoleniem widzi w tem pocieszający objaw, ponieważ niejęzykoznawcy, w trosce o należytą terminologję łowiecką, kontrolują swój bogaty słownik łowiecki, chcąc go oczyścić z niepożądanych, bo sztucznych, naleciałości językowych. Który z tych terminów jest sztuczny, wtórny, a zatem niepoprawny? Wskażą nam na to pewne kryterja poprawnościowe, któremi językoznawca rozporządza, a mianowicie: 1) argument historyczny, 2) etymologiczny, 3) semazjologiczny.

Prof. W. Ziembicki, broniący *pasynka* przed sztucznem *pasemkiem*, które znów znajduje obrońcę w osobie kpt. J. W. Kobylańskiego, oparł się na tych trzech kryterjach poprawnościowych. Dlatego też jego argumentacja wydaje mi się słuszna, przekonywająca.

Przechodzę z kolei do argumentacji, opierając się na materjałach wyżej wspomnianych autorów, dorzucając tu i tam własne dane źródłowe.

Kryterja historyczne.

Pasynek w znaczeniu odrostka rogów łosia zarejestrował pierwszy Bobiatyński w swojej „Nauce łowiectwa" t. II, str.55, w roku 1825. W „Terminologji" (1822 r.) Kozłowskiego brak *pasynka*, ale ten wielki zbieracz wyrazów łowieckich wciągnął — *eo ipso* zaakceptował — ten wyraz do rękopiśmien-

nych swoich dodatków w I wyd. „Terminologji". Ten egzemplarz „Terminologji" z dopiskami rękopiśmiennemi Kozłowskiego, który dzisiaj znajduje się w posiadaniu prof. Ziembickiego, miał H. Łopaciński, wybierając z niego około 500 wyrazów, zamieszczonych w pracy: „Przyczynki do nowego słownika języka polskiego" (Prace Filologiczne V 826). Z przyczynków Łopacińskiego skorzystał „Słownik jęz. pol." (Karłowicz, Kryński, Niedźwiedzki) oraz „Słownik gwar polskich" Karłowicza. Tą też drogą dostał się *pasynek*, jako termin myśliwski, do tych słowników.

P. kpt. Kobylański, przeciwnik *pasynka*, przytacza materjał słownikowy, który popiera argumentację historyczną p. prof. Ziembickiego. Wspomina bowiem, że również słownik wileński Zdanowicza, następnie Rykaczewskiego wydany w Berlinie i słownik Arcta znają *pasynek* w znaczeniu o d r o s t k a b o c z n e g o r o ś l i n y. *Pasynkować* kukurydzę, tytoń, winogrona znaczy zrywać odrostki dla uszlachetnienia i przysporzenia siły głównej łodydze. Że wyraz *pasynek*, którego etymologję podam niżej, miał dawniej, jako wyraz p r a s ł o w i a ń s k i, szerokie zastosowanie, świadczy używanie tego wyrazu, pospolitego w funkcji onomastycznej, jako nazwiska. Por. „Akta grodzkie i ziemskie" t. XVII, 1496 r., nr. 2862: kmethonem in villa Cupyathicze Ivanyecz P a s s y n e k = P a s y n e k. Bogatą zatem metrykę historyczną posiada *pasynek* w różnorakiej funkcji. *Pasemko* natomiast, jako wyraz łowiecki, znajduje się tylko we wspomnianym wyżej „Słowniku jęz. pol." (Karłowicz, Kryński, Niedźwiedzki), pomija go natomiast „Słownik gwar pol." Karłowicza. Ponadto przytacza kpt. Kobylański ten termin myśliwski z „Łowca" lwowskiego (1902 rok, 1908 r.) oraz z „Łowca Polskiego" (1908 r.) itp.

A r g u m e n t e t y m o l o g i c z n y.

Badany wyraz, w celu wydania mu rodowodu swojskości, obcości, czy niestosowności w używaniu, bierze językoznawca na stół operacyjny i, niczem chirurg, kraje go na cząstki, cząsteczki, czyli według terminologji gramatycznej wydziela przedrostki i przyrostki od rdzenia, aby sobie wyrobić sąd o f o r m i e i z n a c z e n i u danego wyrazu. Często językoznawca-chirurg przy takiej operacji etymologicznej widzi jakieś niedomagania formalne ew. znaczeniowe danego tworu językowego, a to mu pozwala wydać sąd o właściwem ew. niewłaściwem używaniu badanego wyrazu. *Pasynek* = *pa-syn-ek*. Rdzeń *syn* nie wymaga bliższych objaśnień; przedrostek *pa-* (por. *pagórek: góra, parobek: rob)* nadaje odcień zdrobnienia, umniejszenia wyrazowi; taksamo przyrostek *-ek*. A zatem zasadnicze, podstawowe znaczenie *pasynka* = m n i e j s z y n i ż s y n; z tego podstawowego pojęcia rozwinęły się znaczenia wtórne: 1) pasierb, wnuk, prawnuk itp., 2) boczne odrostki, wypuszczane przez górną gałąź rośliny, gałązki wyrastające z łopaty łosia.

Pasemko, zdrobnienie pasma, dzielimy na *pas-mo*. Nie wdając się w bliższą etymologję rdzenia *pas-* i przyrostka *-mo* (por. *pismo, jarzmo)*, stwierdzam, że pierwotne znaczenie *pasma* to zbiór *długich* nici; potem przenośnie: ciąg, szereg nieprzerwanie się ciągnący. Zwracam uwagę na pojęcie d ł u g o ś c i, które się w tym wyrazie mieści, gdyż to było dominującą cechą semantyczną, z której mogły się rozwinąć dalsze pojęcia ciągu, szeregu nieprzerwanie się ciągnącego.

A r g u m e n t s e m a z j o l o g i c z n y.

W ścisłym związku z analizą etymologiczno-formalną pozostaje analiza semazjologiczna, czyli rozbiór znaczeniowy danego wyrazu, tj. wykrycie jego dominującej cechy semantycznej, a przez to zrozumienie jego wtórnych znaczeń. Logika nie rządzi językiem! To prawda! Ale rządzą nim — jeżeli chodzi o rozwój znaczeniowy wyrazów — prawa psychologiczne, skojarzeniowe. Dlaczego gałązki wyrastające z łopaty łosia nazwano p r z e n o ś n i e pasynkami, rozumiemy dobrze. Taksamo, jak rozumiemy, dlaczego pasynkami nazwano boczne odrostki, wypuszczane przez główną gałąź rośliny. I wreszcie, dlaczego pasynek jest synonimem pasierba, wnuka, prawnuka? Dominującą cechą pojęciową, która spaja wszystkie te wtórne znaczenia, jest pojęcie c z e g o ś m n i e j s z e g o, p o c h o d z e n i a o d c z e g o ś. To, co od czegoś pochodzi, z natury rzeczy jest mniejsze od pierwowzoru. Takich podstaw semantycznych nie znajdziemy dla pasemka w znaczeniu odrostków łosia, gdyż — jak już słusznie zaznaczył p. Z. G l i n k a („Ł. P.", 1938, 123) — może być pasemko nici, pasmo nieszczęść czy pasmo gór, wreszcie mgła może układać się pasmami, ale odnoga od łopaty łosia o zupełnie o k r e ś l o n y m kształcie pieńka, walcowato zaostrzonego, nie pokrywa się z pojęciem pasma czy pasemka. Przy tym bowiem wyrazie dominującą cechą jest pojęcie d ł u g o ś c i n i e p r z e r w a n i e s i ę c i ą g n ą c e j, z czego już tylko krok nas dzieli od takich wtórnych, abstrakcyjnych znaczeń, jak: ciąg, szereg nieprzerwanie się ciągnący.

Skądże zatem pojawiło się *pasemko*, jako termin myśliwski? Uporał się z tym już prof. W. Z i e m b i c k i, który nazwał *pasemko* wykolejeniem niezrozumiałego, niezwykłego *pasynka* (głównie ze względu na mało produktywny przedrostek *pa-)*. Takich podciągnięć niezrozumiałych ze względu na budowę wyrazów pod bardziej zrozumiałe możemy przytoczyć bez liku. Pamiętamy świeże ataki na *Olzę*, z której gwałtem chciano zrobić bardziej polską *Olszę!* Nie sięgajmy jednak tak daleko! Ten sam rdzeń wykoleił się w innym kierunku, mianowicie: p a s y n k o w a ć - p a s e n k o w a ć - p a s ę k o w a ć, co już skojarzyło się z *sękiem* i z obcinaniem latorośli z *sęków*.

R e a s u m u j ą c t e w y w o d y, u w a ż a m, ż e p a s y n e k p o w i n i e n s i ę z a d o m o w i ć w t e r m i n o l o g j i ł o w i e c k i e j, g d y ż z a n i m p r z e m a w i a j ą k r y t e r j a h i s t o r y c z n e, e t y m o l o g i c z n e i s e m a z j o l o g i c z n e.

STANISŁAW ROSPOND

CECHOWANIE BRONI

BROŃ NIEMIECKA

Broń niemiecka jest powszechnie znana na rynku polskim.

Przed wojną najbardziej znaną była ona w b. zaborze pruskim. W mniejszym stopniu w innych zaborach. Jeśli chodzi o b. zabór rosyjski, to bronie niemieckie przed wojną, pomimo że miały dobrą opinję, zaliczały się do broni tańszych.

Niemcy, dzięki surowcom krajowym oraz ogromnie rozwiniętemu przemysłowi, wysunęły się na bardzo poważne miejsce w przemyśle broniowym. Bronie niemieckie cechuje wielka celowość w budowie, dane balistyczne badane są skrupulatnie i wszelkie obliczenia związane z budową broni tak przemyślane, że dają maksymalny efekt. Obecnie niemiecki przemysł broniowy wypuszcza na rynek taką ilość i tak różnorodnej broni, że pod tym względem wybija się na czołowe miejsce. Są typy broni, w których Niemcy są bezkonkurencyjni; chodzi tu o wszelkie bronie trzylufowe, które wyrabiane są tylko w Niemczech i w wyrobie których doszli oni do doskonałości.

W ostatnich czasach Niemcy ogromnie rozwinęli wyrób broni precyzyjnej małokalibrowej kal. 22 rifle, tak sportowych jak i mających cechy pół-wojskowe. Bronie małokalibrowe, pół-wojskowe, służą przy szkoleniu przysposobienia wojskowego i krzewienia zamiłowania do sportu strzeleckiego. Ma to wielkie znaczenie dla obronności kraju.

Jedynie może w dziedzinie broni samoczynnej, tak kulowej jak i śrutowej, nie są Niemcy szerzej reprezentowane. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że przemysł broniowy niemiecki był przez pewien czas dość poważnie krępowany klauzulami traktatu wersalskiego.

Broń samoczynna, mimo postępów techniki, jest w dalszym ciągu bronią bardzo kapryśną, która może czasami zawieść. Pozatem broń ta wymaga doskonałej amunicji, bardzo dobrego utrzymania, a w eksploatacji jest bardzo nieekonomiczna.

Poza bronią małokalibrową pół- i samoczynną, następuje cały szereg broni kulowej rozmaitych kalibrów, których wybór jest bardzo duży.

Przy budowie i przemyśleniu tej broni wychodzi na jaw niemiecka celowa oszczędność, związana z brakiem surowców w przemyśle niemieckim. Do każdej broni, posiadającej większy kaliber, niż 22 long rifle, która wymaga amunicji fabrycznej — można wyrabiać amunicję sposobem domowym, mając ku temu odpowiednie przyrządy. Naboje takie są niesłychanie tanie, do tego stopnia, że pomimo cła są one niejednokrotnie tańsze od nabojów mniejszych innych produkcji. Np. nabój kal. 5,6 × 35 wykonany sposobem domowym kosztuje taniej, niż oryginalny amerykański nabój kal. 22 long rifle na rynku polskim.

Poza tym szeregiem broni kulowych mało- i średniokalibrowych, następują karabiny myśliwskie, z których najbardziej znane są 5 strzałowe karabiny Mausera. Skala samych tych karabinów już jest ogromna, zaczynając od 6 mm, a kończąc na 10,75 mm, co już jest kalibrem broni kolonjalnej.

Z kolei przychodzą bronie dubeltowe, kulowe i śrutowe, cieszące się doskonałą opinją w świecie. Najbardziej znane są wyroby słynnej fabryki Sauera w Suhl. Fabryka ta wyrabia też słynne bronie trzylufowe.

Po tej broni następują bronie specjalne, a mianowicie: trójlufki z rozmaitemi kombinacjami luf, czwórlufki — te ostatnie mniej znane — „bockflinty", „büchsflinty", a wreszcie bronie samoczynne Waltera. Bockflinty, tak kulowe jak i śrutowe, są wyrabiane przez firmę Merkel.

Oprócz tych fabryk egzystuje w Niemczech cały szereg innych, mniej znanych, które wyrabiają broń bardzo rozmaitą.

Poza fabrykami broni, istnieje cały szereg zakładów, które, kupując w poszczególnych fabrykach części składowe, broń składają, dopasowują i wypuszczają na rynek pod swoją firmą; system ten stosowany jest również w stosunku do zagranicy, a mianowicie fabryka wysyła cenniki do rusznikarzy, w których są podane poszczególne składowe części najrozmaitszego typu broni. Części te należy tylko zebrać, dopasować i złożyć w jedną całość.

Cechy na broni niemieckiej.

1. V — znak broni wyprodukowanej przed wprowadzeniem oficjalnego cechowania broni.

2.  — znak pierwszego przystrzeliwania luf.

3. U — znak drugiego przystrzeliwania, który następuje po znaku poprzednim na lufach oraz na zamku.

4. S — znak na lufach śrutowych (borowanie cylindryczne).

5. W — czok.

6. G — znak na lufach pojedyńczych kulowych.

7. E — znak luf kulowych ze specjalnie wzmocnionym ładunkiem prochu (lufy sztucerowe).

8. (12) — kaliber luf śrutowych. Liczba w środku koła wskazuje wewnętrzną średnicę przy czoku 220 mm od początku komory nabojowej, przy lufach cylindrycznych — przy wylocie.

9. B — znak broni, która przeszła tylko jedno przystrzeliwanie (przeznaczone dla zagranicy).

10. R — znak naprawy broni umieszczony przy naprawie, zmianie kalibru, komory nabojowej lub też zamka.

11. Nitro — znak prochu bezdymnego, za którym następuje rodzaj pocisku, i tak „S" oznacza pocisk ostrołukowy w płaszczu; „K.M.G." — pocisk w płaszczu miedzianym; „B.G." — pocisk ołowiany. Za znakiem rodzaju pocisku umieszcza się waga jego. Pozatem umieszczany jest kaliber lufy.

12. N — znak, obecnie nieużywany, dla oznaczenia przystrzeliwania luf kulowych jak i śrutowych prochem bezdymnym.

Za znakiem tym następuje ułamek, w liczniku którego umieszczona jest waga i rodzaj prochu, a w mianowniku waga śrutu w gramach, lub rodzaj pocisku kulowego.

Ze względu na to, że Niemcy mają ogromnie rozwinięty przemysł broniowy, obcą broń wpuszczają one na swój rynek bardzo niechętnie. Broń zagraniczną, dopuszczoną na rynek, dzielą Niemcy na dwie kategorję: broń o cechach uznanych przez Niemcy i broń o cechach nieuznanych. Broń pierwszej kategorji jest dopuszczona do handlu bez przeszkód. Druga kategorja nie jest dopuszczona do handlu, dopóki nie przejdzie przez zakłady doświadczalne niemieckie i nie odbędzie tam przepisowych prób. Ze względu na to, że są państwa, które nie mają zakładów doświadczalnych i w których próbę broni przeprowadza fabryka, jak np. w Ameryce — zbyt tej broni w Niemczech jest bardzo utrudniony, bowiem broń taka poddawana jest próbie niemieckiej i otrzymuje znaki obowiązujące w Niemczech; podraża to znacznie cenę broni. Tem też należy tłomaczyć, że bronie posiadają częstokroć podwójne cechy.

Zakłady doświadczalne w Niemczech badają każdą broń bardzo skrupulatnie i wszechstronnie, potem dopiero stawiają znaki próby i dopuszczają do handlu.

Typową niemiecką broń, doskonale praktycznie rozwiązaną, stanowią trójlufki. Jeżeli weźmiemy pod uwagę trójlufkę o dwóch górnych lufach śrutowych, a dolnej kulowej, otrzymamy broń trochę ciężką, ale bardzo uniwersalną. Jest ona doskonała dla myśliwskiej włóczęgi, kiedy można spotkać rozmaity rodzaj zwierzyny. Biorąc zaś pod uwagę broń posiadającą dwie lufy kulowe, a jedną śrutową, otrzymamy doskonały sztucer, który ma zawsze w pogotowiu jeden strzał śrutowy.

Ostatnio fabryki niemieckie zaczęły wyrabiać bronie z kilkoma kombinacjami luf — i tak: można mieć jednocześnie broń posiadającą jedną kombinację potrójną luf z przewagą śrutową i jedną kombinację potrójną luf z przewagą kulową, do tego samego łoża. Ten praktyczny sposób rozwiązania użyteczności broni jest rzeczywiście uniwersalny. Coprawda broni takich gotowych niema, broń taką, jak i odpowiednie kombinacje luf, trzeba zamawiać, co długo trwa i drogo kosztuje, natomiast bardzo są praktyczne i oszczędne pod względem miejsca i wygody.

Chociaż najlepsze strzelby niemieckie ustępują tak angielskim jak i belgijskim pod względem materjałów i linji, jednakże w dziedzinie strzału, wyważenia i innych zalet myśliwskich — dorównują im w zupełności.

Niemcy w swych broniach chętnie stosują specjalne łoża z chwytem pistoletowym i poduszką, co w broniach innych fabrykacji spotyka się rzadziej, szczególnie jeżeli chodzi o poduszkę. Ten jednak system łoża posiada niezaprzeczoną celowość.

Zupełnie objektywnie przyznać można, że dorobek niemieckiego przemysłu broniowego w ostatnich latach jest ogromny tak pod względem różnorodności typów wypuszczanej broni, jak i pod względem technicznego rozwiązania.

(Dok. n.). BROCHWICZ.



Wrony i sroki na padlinie. Fot. A. Dobrski.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. P. HENRYK SOKOŁOWSKI.

Czemużeś, św. Hubercie, tak wcześnie zawezwał do apelu tę piękną duszę myśliwego?!...

Wspaniała postać ś. p. Henryka Sokołowskiego w gronie drużyny łowieckiej, na tle zaśnieżonej kniei, straciła swój kształt realny — stała się dla nas odtąd wzorem, wizją łowcy-rycerza.



Ś. p. Henryk Sokołowski.

Górował ponad wszystkimi swym wzrostem, lecz jeszcze większej miary dał mu Bóg duszę i serce. Uczuciami swemi, jak korzeniami, wrósł w ziemię ojczystą i czerpał z tych nieprzebranych skarbów ukochanie stworzenia.

Miłował przyrodę we wszystkich jej kaprysach piękna i grozy. Całą potęgą swego ukochania i mocą niezłomnego charakteru wyhodował w sobie kult łowiectwa piękny i czysty, jak płatek śnieżnej ponowy.

Skromność była główną cechą pięknego charakteru Zmarłego. Kiedy Ojczyzna była zagrożona w 1920 r.— walczy jako prosty żołnierz, pełniąc służbę w II bat. I D.A.K. Otrzymując pierwszy chrzest bojowy w bitwie pod Nowemi Strzeliskami, wraz z kilku kolegami, w obronie opuszczonej baterji, otoczony nieprzyjacielską kawalerją, celnym strzałem powala setnika kozaków. Gdy dowództwo i koledzy winszują mu celności strzału i męstwa, odpowiada skromnie: „Musiałem tak uczynić, żal mi go jednak — to także człowiek".

Strzelec znakomity, hodowca doświadczony, nigdy nie korzysta ze swej przewagi. W sposób miły i delikatny poucza i podnosi poziom młodszej braci myśliwskiej, świecąc dokoła wzorem prawdziwych cnót łowieckich.

Odszedłeś na wieki, Druhu serdeczny, lecz duch Twój towarzyszyć nam będzie w naszych wysiłkach i pracy dla łowiectwa, czuwając nad nami, byśmy, wyzbywając się przywar, a pielęgnując cnoty łowieckie, wzorem Twoim dążyli do ideału łowcy-rycerza.

Spoczywaj w spokoju, Kolego i Przyjacielu! — Żegnam Cię w imieniu Twej wiernej drużyny łowieckiej.

S. STANILEWICZ

*

Żegnając prawdziwie oddanego sprawie łowieckiej ś. p. Henryka Sokołowskiego, Naczelna Rada Łowiecka P. Z. Ł. wysłała do Pani Sokołowskiej następującą depeszę:

Pani Hanna Sokołowska

Wysocin, Żabieniec k/Wagańca

Głęboko i dotkliwie przejęci przedwczesnym zgonem ś. p. Męża Szanownej Pani, Zasłużonego Łowczego i Szlachetnego Myśliwego, ślemy serdeczne wyrazy najżywszego współczucia.

Naczelna Rada Łowiecka.



DOBRE I ZŁE

„Niedobrze, panie bobrze...” („Polonia, Katowice, z dnia 23.III. r. b.). Coś dla kontrastu — do tematu, jaki w tej rubryce poruszyłem w Nr. 8 „Ł. P.” z dn. 1 b. m.

Mówiłem tam między innemi, że rzadko już teraz zdarzają się niesamowite feljetony, reportaże lub wzmianki aktualne takich autorów, których fanfaronadę „myśliwską” i zupełną ignorancję przedmiotu tolerowało dawniej bezkrytycznie tak wiele pism wśród organów naszej prasy.

Wywołałem — okazuje się — wilka z lasu! Bo oto prawie w tym samym czasie ukazały się dwa takie atrykuły: w „Expressie Porannym” z dn. 21 marca r. b. „Niezwykłe polowania na zające”, którem zajmuje się na innem miejscu inż. Stanisław Kamocki, i owe z rubryki stałej w „Polonii” — „Pod włos...”: „Niedobrze, panie bobrze...”

Ale te dwie rzeczy różnią się między sobą zasadniczo — w intencjach, tonie i formie. W pierwszej wzmiance w „Expr. Por.” autor pisze wprawdzie o łowiectwie, jak ślepy o kolorach, ale jest najlepszej wiary w swój ciekawy reportaż z terenu, „pięknie po dziennikarsku zaokrąglony” — w drugim, feljetonie „Pod włos”, autor „Niejaki X” obrzuca świadomie błotem, śliną i jadem naczelną organizację naszą, Polski Związek Łowiecki. Zapewne — i ten autor nie ma pojęcia o tem, jak nasza łowiecka sprawa wygląda istotnie, a przedewszystkiem — jeśli chodzi o ochronę różnych gatunków zwierząt, o ich umiejętną rozmnożę — jak dalece poważną rolę myśliwi odgrywają w tej szczególnie trudnej i skomplikowanej pracy i jak niewiele, choćby tylko z braku odpowiednich środków technicznych i materjalnych, mogliby zrobić sami ochroniarze przyrody.

Obecnie połączyliśmy w Polsce idee i postulaty jednych i drugich, i osiągnęliśmy właściwy kierunek współpracy, dający jaknajlepsze, wszystkim znane, wyniki.

„Niejaki X” o tem nic nie wie. Mniejsza o to, ale szkoda, że nie wie o tem także nic Redakcja „Polonii” i bez najmniejszego usprawiedliwić mogącego ją motywu zgadza się na drukowanie publicznych napaści na godność i powagę czysto ideowej, a niewątpliwie dostatecznie fachowej instytucji — Polskiego Związku Łowieckiego, którego cała działalność znajduje zupełne uznanie i u odpowiednich czynników oficjalnych, jak Ministerstwo Rolnictwa i u tak poważnych placówek społecznych, jak Państwowa Rada Ochrony Przyrody i Liga Ochrony Przyrody.

Jeśli chodzi o praktyczne wyniki długoletniej pracy Polskiego Związku Łowieckiego i zrzeszonych w nim prawdziwych, rzetelnie ideowych myśliwych, to dostatecznie mówią o tem dzisiejsze ilostany zwierzyny różnych gatunków, a w szczególności nawet: łosi, niedźwiedzi, ba! rysi — w porównaniu do stanu z r. 1920 — 1922.

I nawet tam, gdzie ingerencja polskich myśliwych nie stanowi jedynego praktycznego środka obrony i ochrony jakiegoś gatunku — weźmy choćby gatunki ptaków przylotnych: kaczek, gęsi, dubeltów, słonek, przepiórek — polskie zorganizowane łowiectwo czyni wszystko, gotowe jest zawsze na wszelkiego rodzaju ograniczenie swoich własnych praw odstrzału (które to ograniczenie samo sobie — i innym — dyktuje), ażeby sprawie ogólnej choć częściowo dopomódz.

Tyle się o tem pisze i mówi, od tylu lat widzi się na przykładach owocne rezultaty gospodarki łowieckiej w Polsce, że trudno pogodzić się z myślą, by akurat jeden publicysta, „Niejaki X”, nic o tem nie wiedział.

I cóż on zarzuca Polskiemu Związkowi Łowieckiemu? „Cynizm, hypokryzję i barbarzyństwo”.

A zarzuty te wysnuwa z tego, że Związek powołał Sekcję Ochrony Bobra, opartą na praktycznych relacjach życia i że, biorąc w ręce przyszłość i tego jeszcze zwierza, tak przed kilkunastu laty wyniszczonego, któremu papierowa ochrona, głoszona w artykułach, odczytach i broszurach, absolutnie i nadal nic pomódz nie jest w stanie, zastrzega odstrzał tego zwierza dla myśliwych-hodowców, którzy — zachęceni tą możliwością, zadowolić mogącą ich ambicje hodowlane i pasję myśliwską — tem chętniej i tem pewniej, tem skuteczniej zajmą się sprawą posunięcia ilostanu bobrów w górę.

Faktem dowiedzionym jest, że całkowity zakaz użytkowania jakiegoś gatunku dzikiego zwierzęcia wywołuje szkodliwą obojętność nawet u tych, którzy, obcując z nim na własnym terenie, przestają się nim interesować, zwłaszcza gdy zainteresowanie hodowlano-ochronne związane musi być ściśle z łożeniem wydatków na takie sposoby odpowiednio i życiowo postawionej ochrony, które wcale lub w minimalnym stopniu mogłyby być stosowane przez inne czynniki, choćby najbardziej „ochroniarsko” nastawione.

Jeżeli z kilku sztuk łosi, pozostałych po wielkiej wojnie i czasach bezpośrednio powojennych, mamy dziś w Polsce stan ich przewyższający 1500 sztuk pogłowia, to możemy być również spokojni i o to, że z 150 — 200 polskich bobrów, oddanych w opiekę myśliwym - hodowcom (z prawem ich odstrzału), za lat 15 — 20 dojdziemy do nierównie poważniejszego ilostanu.

Dla uspokojenia „Niejakich X”'ów i redaktorów pism, bezkrytycznie zamieszczających paszkwile na instytucje społeczne, których praca ideowa i fachowa znajomość przedmiotu są im, wbrew ich własnemu posłannictwu, jako publicystom, nieznane — dodać muszę i to jeszcze, że na to są tworzone przy Polskim Związku Łowieckim sekcje ochrony: łosia, niedźwiedzia, bobra i t. p., aby między innemi dyktować warunki myśliwym, określając coroczną ilość sztuk przeznaczonych do odstrzału, bez szkody (a często również z korzyścią) dla dalszej tego gatunku rozmnoży.

Powyższe wyjaśnienie uważam, jako spełnienie tego dodatkowego obowiązku względem niektórych publicystów, jednak bynajmniej nie może mnie to powstrzymać od najmocniejszego potępienia metod, jakiemi tacy panowie się posługują. Są to bowiem metody napaści z za płotu, z grubą pałką w ręku, oszołomionych tą grubością pałki napastników, którzy, wymierzywszy cios, czemprędzej chowają się znowu za płot, aby ujść sprawiedliwości. Tyle co do tendencji.

Pozatem feljeton w „Polonii” „Niejakiego X.” jest bardzo słabą elukubracją pióra, operującą bardziej popularnemi hasłami, o których zaledwie coś wie, i podaną w niesmacznym sosie żarcików i przekpinek prowincjonalnego reportera, który chciałby widać na samem powtarzaniu tych haseł i na nonszalancko - protekcjonalnym tonie — posunąć się w swej karjerze o kilka szczebli wyżej. Tyle co do formy.

Jużby był lepiej poradził ów „protektor bobrów” — miarodajnym czynnikom, aby przeznaczono znaczne sumy na przymusowe wykupienie wszystkich terenów bobrowych (zasiedlonych i takich, które mogą być zasiedlone), na utrzymywanie stałej administracji państwowej na tych terenach i to w znaczniejszej ilości, do stróżowania dzień i noc... To byłoby dziecinne może, ale naprawdę „pobożne” życzenie teoretyka, który nic nie słyszał o polskiem łowiectwie i o owocach jego działalności, a który jakby również nic nie chce wiedzieć o personalnym składzie Naczelnej Rady Łowieckiej, ani również nowo utworzonej Sekcji Ochrony Bobra.

Takie czy inne stanowisko możnaby było zwalczać cierpliwie właściwemi argumentami, w tym zaś wypadku „Niejaki X.” nie zasługuje na żadne względy, lecz tylko na stwierdzenie jego świadomej złej woli, z którą się jednak nie warto poważnie liczyć.

„Polonii” trudno winszować poziomu moralnego i intelektualnego jej współpracownika.

WUZET
(WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO).

Niezwykłe polowanie na zające

(Z powodu wzmianki w Expressie Porannym pod tym samym tytułem).

Jakkolwiek popularyzacja łowiectwa w prasie codziennej jest zasadniczo pożądana, to jednak o tyle tylko, o ile artykuły na ten temat odpowiadają prawdzie i są oparte na najelementarniejszej bodaj znajomości łowiectwa, w przeciwnym razie dyskredytują je tylko i na kompromitację narażają autorów.

Do takich właśnie należy zaliczyć artykuł umieszczony w „Expressie Porannym" z dn. 21 ub. m. pod wyżej podanym tytułem.

Autor opisuje szczegółowo chwytanie zajęcy w sieci w majątku Wieniec na Kujawach, gdzie wedle informacji schwytano 1116 sztuk i zaznacza przytem, że żywe zające z Polski cieszą się powodzeniem zagranicą, dokąd nabywają je większe obszary łowieckie dla odświeżenia krwi.

Gdyby autor wzmiankę swoją ograniczył do tej tylko wiadomości, byłoby wszystko w porządku. Niestety, w dalszym ciągu artykułu porusza sprawy dotyczące techniki łapania zajęcy, w której to materji zdradza kompletną ignorancję. Tak np. dowiadujemy się, że przy łapaniu zajęcy „myśliwi pracują" w specjalnych rękawicach, z ochraniaczami na twarze, gdyż zające przy wyjmowaniu z sieci rzucają się i gryzą.

Przedewszystkim w chwytaniu zajęcy nie biorą udziału myśliwi, z wyjątkiem chyba właściciela i zaproszonych gości w charakterze widzów, łapacze natomiast, jak i naganka, rekrutują się ze służby folwarcznej, lub najemnej. Agresywność chwytanych zajęcy, która jakoby zmusza, zdaniem autora, „myśliwych" do zaopatrywania się w specjalne rękawice i ochraniacze twarzy, nie wytrzymuje krytyki. Zając po schwytaniu go rzuca się, gdyż chce się uwolnić, ale jest tak wystraszony, że mu nie w głowie napastowanie kogokolwiek. Czasem skubnie chłopa za cholewę, ale o drapaniu twarzy mowy niema.

Podczas łapania zajęcy w Wieńcu możliwe bardzo, że był mróz, skutkiem czego ten i ów z łapaczy włożył „specjalną", jak je nazywa autor artykułu, rękawicę z jednym palcem, a właściciel, a może ktoś z gości przyglądających się łowieniu, włożył ciemne okulary, żeby zabezpieczyć się od blasku słońca, co w oczach autora urosło do akcesorjów niezbędnych przy chwytaniu zajęcy.

W końcu artykułu podaje autor informację, że cena skórek zajęczych nie zniszczonych strzałem jest znacznie wyższa, z czego logicznie rozumując wynikałoby, że należy, zdaniem autora, chwytać zające żywe po to, żeby je potem bez użycia broni zabijać. Skórki zajęcze, ze względu na to, że jako futerko są bardzo nietrwałe, przerabiane są wyłącznie na filc do fabrykacji kapeluszy, a w tym wypadku obojętne jest, czy zając był strzelany lub nie. Pomijając jednak ten wzgląd, absurdem byłoby chwytanie zajęcy żywych, przy nakładzie bardzo znacznych kosztów, dla zabijania ich na mięso lub skórki, których wartość nie przekracza kilkudziesięciu groszy za sztukę. Autor artykułu podaje wartość zająca żywego na 16 zł., podczas gdy zabity kosztuje ze skórką dwa do trzech. Jakiż więc interes byłby chwytać zające, by je zabijać?

Zdaniem mojem byłoby bardzo wskazane, aby pisma codzienne przed umieszczaniem jakiegoś artykułu z zakresu łowiectwa zwracały się do Redakcji „Łowca Polskiego" celem uzgodnienia poglądów na poruszane sprawy, co zapobiegłoby wielu kompromitacjom.

Inż. STANISŁAW KAMOCKI.

Ze Stowarzyszeń Związkowych

ODEZWA
BRACTWA STRZELCÓW KURKOWYCH W WARSZAWIE.

Czyn ochotniczy z lat 1918 — 1921 będzie, zgodnie z uchwałą Sejmu, nagrodzony krzyżem i medalem. — Słusznie się on należy tym tysiącom siwowłosych obywateli, którzy porzucili swe warsztaty pracy, tej młodzieży obojga płci i młodziutkim harcerzom, którzy zapełnili pułki ochotnicze pod Lwowem, w Wielkopolsce i na Górnym Śląsku, oraz stanęli do walki w r. 1920, niosąc wraz z szlachetnym zapałem hojną ofiarę krwi dla Ojczyzny.

Danina krwi byłaby mniej obfita, gdyby większość ochotników nie była chwyciła za karabin po raz pierwszy w swem życiu. Obecnie, na wypadek gdyby znów wybiła godzina obrony honoru i granic Polski, umiejętność strzelania jest już bardziej uznana i rozpowszechniona — ale czy jest dostateczna, zwłaszcza wśród tych, którzy pełnić będą służbę ochotniczą w miejscu swego zamieszkania, a więc w stolicy — czy jako straż obywatelska, czy jako milicja miejska?

Pozatem ćwiczenia w strzelaniu muszą być częste i wytrwałe, gdyż technika w użyciu broni palnej zmienia się i kroczy stale naprzód.

Wszechstronne możliwości pod tym względem daje strzelnica Bractwa Strzelców Kurkowych w Szczęśliwicach, posiadająca urządzenia do wszelkiego rodzaju strzelania, od karabinu do pistoletu, na rozmaite odległości. Połączona dogodnym dojazdem ze śródmieściem, może być wyzyskana do ćwiczeń w strzelaniu w ciągu całego dnia do zmroku, w święta po nabożeństwie jak i w dzień powszedni.

Niniejszem zwracamy się z apelem do obywateli starszych i młodzieży Warszawy, zwłaszcza skupiających się w dawnych cechach, z których przed 525 laty powstało nasze Bractwo, aby korzystali z możności nauki w strzelaniu i zapisywali się w poczet ćwiczących braci kurkowych.

Zapisy przyjmuje się w lokalu Bractwa przy Warszawskiem T-wie Łyżwiarskiem, ul. Szopena 3/11, w poniedziałki i czwartki w godz. 19 — 20.

Za Zarząd Bractwa Strzelców Kurkowych:

Sekretarz W. MICHAŁOWSKI

Prezes W. hr. SOBAŃSKI

KOMUNIKAT
w sprawie kwalifikacyjnego egzaminu dla leśników lasów nie stanowiących własności Państwa.

Pomorska Izba Rolnicza zawiadamia, że egzaminy na leśniczych i podleśniczych uczestników odbytych w latach 1933, 1935, 1936 i 1938 kursów leśnych w Toruniu, odbędą się przed ustanowioną komisją **w czasie od 3 do 8 lipca 1939 r.**

Taksa egzaminacyjna wynosi 25 zł. i winna wpłynąć do kasy Pomorskiej Izby Rolniczej najpóźniej do 15 czerwca 1939 r. Koszty wyżywienia, mieszkania, światła, które opłacają kandydaci, wyniosą po 5 zł. dziennie, razem 30 zł.

Termin zgłoszeń kandydatów ustalono na 1 maja 1939 r.

Bliższych szczegółów udziela Inspektorat Leśnictwa Pomorskiej Izby Rolniczej, Toruń, ul. Klonowicza 19.

POMORSKA IZBA ROLNICZA.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

OKÓLNIK DO WOJEWÓDZKICH RAD ŁOWIECKICH

Warszawa, dnia 4 kwietnia 1939 r.

Nr. 279-IV/Org.

Wojewódzkie (Oddziałowe) Rady Łowieckie wszystkie.

Niejednokrotnie już do wiadomości Związku dochodziły fakty odmowy Urzędów Wojewódzkich na podania właścicieli łowisk o zezwolenie na łapanie drobnej zwierzyny, przeznaczonej do sprzedaży w kraju, bądź na eksport, w celach odświeżenia krwi, czy też powiększenia ilostanu.

W jednym z konkretnych wypadków Urząd Wojewódzki w uzasadnieniu odmowy podał jako jej motywy: 1) niezadowalający stan kuropatw w powiecie, 2) niewskazane ze względów hodowlanych niepokojenie kuropatw w najkrytyczniejszym dla nich okresie ochronnym, 3) niedokonanie odstrzału we właściwym czasie.

Takie uzasadnienie wykazuje zupełną nieznajomość stosunków łowieckich.

Stan kuropatw w powiecie nie może być miarodajny dla oceny stanu kuropatw w danem łowisku. Kuropatwa, narówni z zającem, jest zwierzyną wybitnie miejscową, trzymającą się wyłącznie terenów, gdzie znajduje odpowiednie warunki pożywienia i opieki, i nie przenosi się dalej nad 1 — 2 kilometry od miejsc lęgowych. W konkretnym wypadku — w łowisku, o które chodziło, w sezonie r. 1937 na zbiorowem polowaniu padło około 500 kuropatw, petent zaś, który — z powodu choroby a następnie śmierci ojca — nie mógł urządzić w r. 1938 dorocznego polowania, prosił o prawo wyłapania 250 kuropatw, co stanowić może dowód jego oględności i chęci pokrycia z tego źródła przynajmniej części wydatków na ochronę zwierzyny.

Drugi motyw przeczy elementarnym zasadom hodowli. Wyłapywać zwierzynę do celów hodowlanych należy właśnie w okresie ochronnym, inaczej bowiem kuropatwy czy zające, wypuszczone na nowe tereny, byłyby wystrzelane i nie spełniłyby swego zadania.

Wyrzut wreszcie, że zamiast łapać kury żywe należało je we właściwym czasie odstrzelić — dowodzi całkowitego ignorowania czynnika gospodarczego w łowiectwie. Strzelanie zwierzyny na polowaniach połączone jest z rozrywką, której koszty tylko częściowo pokrywa sprzedaż zwierzyny ubitej, natomiast prawidłowa gospodarka łowiecka oparta jest głównie na hodowli i sprzedaży zwierzyny żywej, której cena jest 5 — 6-krotnie większa, przyczem nie zachodzi niebezpieczeństwo dużej ilości zmarnowanych postrzałków.

Związek ze swej strony wystąpił do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, wykazując błędność stanowiska niektórych Urzędów Wojewódzkich w tego rodzaju sprawach, oraz prosząc o wydanie okólnika, polecającego przychylne ustosunkowanie się władz wojewódzkich do tego zagadnienia.

Komunikując o powyższem, Komitet Wykonawczy Polskiego Związku Łowieckiego prosi Wojewódzkie (Oddziałowe) Rady Łowieckie o wydanie zarządzeń, aby podania o zezwolenie na łapanie drobnej zwierzyny żywej, składane przez właścicieli łowisk dla celów sprzedażnych czy hodowlanych, opinjowane były przez organy Związku pozytywnie.

Przewodniczący
Komitetu Wykonawczego
JÓZEF GIEYSZTOR.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA KOMITETU WYKONAWCZEGO Z DNIA 3 MARCA R. 1939.

Obecni PP.: Przewodniczący Prof. Józef Gieysztor, Red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Kazimierz Kamieński, Janusz Regulski, Józef Skrzypek, Inż. Henryk Sosonko, Andrzej Śliwiński, Kazimierz Świderski; protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Nieobecność usprawiedliwił P. Inż. Herman Knothe.

Protokół posiedzenia Komitetu Wykonawczego z dnia 27 lutego, po wprowadzeniu doń kilku poprawek, zatwierdzono.

P. Red. Garczyński zgłosił wniosek o wstawienie do preliminarza budżetowego Związku na rok 1939 pozycji: „świadczenia na rzecz członków Związku": Związek daje wprawdzie swym członkom wiele w postaci obrony ich interesów i wogóle interesów łowiectwa, czy to w drodze wystąpień, dotyczących ustawodawstwa, czy to wobec władz administracyjnych i wogóle przez załatwianie tych spraw, które wysiłkami poszczególnych myśliwych załatwione być nie mogą. Niezależnie jednak od tego, Związek musi utrzymywać jak najściślejszy kontakt ze swymi członkami, powiadamiając ich o wszystkich swoich poczynaniach i ułatwiając orjentację w zakresie działalności i zadań organizacji. Bez stałego kontaktu z członkami — obecny, z poważnym wysiłkiem osiągnięty stan liczbowy Związku nie dałby się utrzymać, a tembardziej powiększyć. P. Red. Garczyński wskazał — jako jeden ze środków zacieśnienia kontaktu z członkami — podjęty już z powodzeniem przez szereg Oddziałów system rozsyłania okresowych komunikatów, informujących członków o działalności. Byłoby wskazanem i celowem rozsyłanie komunikatów takich przez wszystkie Oddziały, a koszty wydawania tych komunikatów winny być pokrywane z omawianej pozycji. Nadto członkowie Związku powinni odczuwać swe uprzywilejowane stanowisko w porównaniu z myśliwymi niezrzeszonymi, a środkiem do tego jest — zresztą w myśl powziętych już przez Komitet Wykonawczy uchwał — zapewnienie członkom ulg w otrzymywaniu wydawnictw Związku, w pierwszym zaś rzędzie jego organu „Łowca Polskiego . Pozatem utrzymanie obecnego stanu organizacji Związku i jego interesy wymagają, aby Łowczowie i Podłowczowie Powiatowi, przedstawiciele władz administracyjnych, zarządu lasów państwowych i t. p. otrzymywali „Łowca Polskiego z bardzo znacznemi zniżkami, w niektórych zaś wypadkach — bezpłatnie. Wszystkie tego rodzaju celowe wydatki winny obciążać omawianą pozycję. Nie wyczerpuje to oczywiście wszystkich świadczeń Związku na rzecz członków, które powinny być objęte tą pozycją, jak np. ulgi przy udziale w urządzanych przez Związek imprezach, wystawach i t. p.

Na pozycję tę odniesione być winny obecne świadczenia „Łowca Polskiego" na rzecz Związku, które z tytułu zamieszczania działu urzędowego, udzielania członkom i mandatarjuszom Związku zniżek w prenumeracie i t. p. — wynoszą zł. 9.516.

P. Red. Garczyński zaznaczył, że w sumie tej nie zostały pomieszczone wydatki „Łowca Polskiego" ponoszone w kierunku własnej propagandy, a więc na rozsyłanie bezpłatnych numerów okazowych dla zachęcania do prenumeraty, na wymianę z innemi wydawnictwami i t. p., wynoszące łącznie około 6.000 — zł.

Po dłuższej dyskusji, w której wypowiedzieli się wszyscy obecni, postanowiono zmienić powziętą na poprzedniem posiedzeniu uchwałę w sprawie budżetu, wstawiając do preliminarza

Związku na rok 1939 sumę zł. 4.368 tytułem zwrotu efektywnych wydatków, poniesionych przez wydawnictwo „Łowiec Polski" na zlecenie władz Związku.

P. Red. Garczyński, uważając, że postanowienie to nie całkowicie załatwia sprawę, zgłosił votum separatum, zastrzegając sobie prawo obrony swego wniosku na posiedzeniu Naczelnej Rady Łowieckiej.

Na wniosek P. Kamieńskiego, Komitet Wykonawczy podwyższył sumę, preliminowaną na dotacje dla Oddziałów Związku, do wysokości zł. 18.000.

Komitet Wykonawczy uznał za konieczne skompletowanie składu i ożywienie działalności Komisji Strzelectwa Myśliwskiego.

Wobec trudności, związanych z terminowem zwołaniem Walnych Zgromadzeń Wojewódzkich (Oddziałowych), Komitet Wykonawczy uznał za wskazane przesunięcie terminu Walnego Zgromadzenia Związku na koniec kwietnia lub na początek maja r. b.

Na posiedzenie Naczelnej Rady Łowieckiej postanowiono zaproponować termin 1 kwietnia.

Ponieważ zdarzają się wypadki zalecania przez niektórych Łowczych Powiatowych prenumeraty lokalnych wydawnictw łowieckich z pominięciem „Łowca Polskiego", Komitet Wykonawczy postanowił rozesłać Oddziałom Związku okólnik, polecający przypomnienie Łowczym Powiatowym obowiązującej uchwały Naczelnej Rady Łowieckiej, która stwierdziła, że jedynym oficjalnym organem Związku i wszelkich jego instancyj jest „Łowiec Polski".

Z MIĘDZYKLUBOWEGO KOMITETU KYNOLOGICZNEGO.

Próby polowe.

Związek Hodowców Wyżła Szorstkowłosego (Sekcja Kynol. przy W. Z. M. w Poznaniu, tymcz. biuro — Al. Marcinkowskiego 16 w firmie „Żarówka").

Próby polowe młodych wyżłów, urodzonych w 1938 r. i pokaz wyżłów, urodzonych w 1937 i 1938 r., odbędą się pod Poznaniem w maj. D-ra Szymańskiego — Rodnicze w dniu 26 kwietnia 1939 r.

Zbiórka w Poznaniu na Górczynie o godz. 9-ej przy ost. przystanku tramwaju Nr. 4.

Jako sędziowie zaproszeni: M. Hr. Czarnecki, A. Gaponów, asystent Dr. Szymański.

Wystawy psów.

Klub Kynologów w Toruniu. Doroczna wystawa psów rasowych w Toruniu odbędzie się w dn. 6 i 7 maja r. b. Informacje udziela biuro Klubu, Toruń, ul. Bydgoska 37.

Z POINTER KLUBU W POLSCE.

23 kwietnia r. b. odbędą się VII field-trialsy Pointer Klubu w Polsce na terenie dóbr Wilanów.

Zamknięcie zapisów—15.IV. o godz. 19-ej. Zgłoszenia przyjmuje biuro Klubu — Warszawa, Nowy Świat 35, tel. 6-66-29.

Z SETTER KLUBU W POLSCE.

30 kwietnia r. b. — VIII field-trialsy Setter Klubu w Polsce na terenie dóbr Wilanów.

Zamknięcie zapisów nastąpi w dn. 21 kwietnia o godz. 19-ej. Zgłoszenia przyjmuje członek Zarządu Klubu — L. Briesemejster — ul. Pierackiego 15 (czytelnia), tel. 2-11-15.

TREŚĆ NUMERU:

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. **6.**—; za pół roku zł. **12.**—; za rok zł. **24.**—; miesięcznie zł. **2.**—. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał zł. **5.**—; za pół roku zł. **10;** za rok zł. **20.**—; miesięcznie zł. **1.75.** Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklam. w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrach. Nr 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł.
Przed tekstem 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25) codziennie; prócz sobót, między 3-ą i 4-tą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Redaktor: Walenty Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki. Sekretarz Redakcji: Wł. Zabiełło.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego, tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa